

ISSN 2081-8912

ASPIRACJE



Nr 15 /50/ 2011

ASPIRACJE

MAGAZYN
LITERACKI
MŁODYCH

NR 15 /50/

STYCZEŃ 2011

TARNÓW

publikacja

GRUPY MŁODYCH AUTORÓW

Oddział dla Dzieci i Młodzieży MBP
ul. Staszica 6, tel. 688 80 23 w. 28
wolek@biblioteka.tarnow.pl

wybór i opracowanie wierszy

ZBIGNIEW MIROSŁAWSKI

rysunek na okładce

KRYSTYNA BANIOWSKA-STĄSIEK

ISSN 2081-8912

wydawca

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA

im. Juliusza Słowackiego
33-100 Tarnów, ul. Krakowska 4
tel. 014/688-80-23/4 tel./fax 622-20-93
e-mail: mbp@biblioteka.tarnow.pl
www.biblioteka.tarnow.pl

Tarnów – styczeń 2011

Druk:

Zakłady Graficzne „Drukarz” Sp. z o.o.
33-100 Tarnów, ul. Braci Saków 5
tel. 14 621-22-46, tel./fax 14 621-17-41
e-mail: drukarz-gosia@tarman.pl, drukarz-biuro@tarman.pl

To już pięćdziesiąty numer „Aspiracji”! Pierwszy o tym tytule oddaliśmy do rąk PT. Czytelników w marcu 2005 roku. Ale jeszcze wcześniej nasz magazyn, jako kwartalnik, ukazywał się od marca 1998 pod tytułem „Kajet Artystyczno-Kulturalny” i od kwietnia 1992 roku jako „Igrasznik”. Stąd numery od 1 do 19 to „Igraszniki”, od 20 do 35 to „Kajety” i od 36 do 50 to „Aspiracje”. Po raz 15-ty aspirujemy do literackich salonów. Aspiracje te zaowocowały publikacjami w kwartalniku artystyczno-naukowym „Znaj”. Nasi autorzy publikują w nim i są prezentowni. Podobnie zauważone zostają działania promocji młodych literatów tarnowskiej biblioteki. Od poprzedniego numeru posiadamy nadany nam przez Bibliotekę Narodową numer ISSN. Od 1992 roku minęło 18 lat. Grupa Młodych Autorów powstała jeszcze wcześniej tj. w 1989 roku. Obecnie wielu naszych autorów publikuje także w innych pismach literackich. W numerze październikowo-grudniowym tj. ósmym „Znaj” debiutował Filip Pietrek, student komparystyki UJ, autor publikacji w Aspiracjach nr 11-13, w tym otwierającego numer październikowy z 2009 roku wiersza pt. „Utnapisztim”.

Grono naszych autorów tworzą poeci: Michał Piętniewicz, Andrzej Szczepański, Agnieszka Szajer, Marta Sowa, Izabela Iwańczuk, Krzysztof Huber, Ewelina Kogut, Dariusz Romanowski, Natalia Ewa Tryba, Zbigniew Mirosławski, Monika Chytróś, Izabella Tarasiewicz, Mariusz Mitera, Krystian Janik, Michał Rams-Ługowski, Bartosz Baran, Kinga Zegar, Dorota Mazurek i Agnieszka Wójtowicz. Prozę zamieszczają: Monika Chytróś, Klaudyna Mach, Anna Łazarz, Grzegorz Osucha i Roman Darecki, ten ostatni kolejny fragment powieści pt. „Z...a”.

W niniejszym numerze prezentujemy także grupę autorów z Pleśnej, są to: Ewa Ogorzelec, Waclaw Hajduga, Kazimierz Olszewski, Maria Wajda i Paulina Biga. W ramach warsztatów literackich prowadzonych w tamtejszej bibliotece powstały recenzje Zbigniewa Leszczyc Mirosławskiego. Twórczość ta ukazuje inspirujący, twórczy zachwyty wynikający z poczucia więzi z własną „małą oj-

czynną”, jest istotnym elementem regionalizmu budującego poczucie terytorialnej wspólnoty.

Tradycyjnie już jesienią otrzymaliśmy również nowy, siódmy już zbiór wierszy. Tym razem w/w autora recenzji, zatytułowany „Wewnętrzne światła wspólnota”. O tej poezji pisze Dariusz Romanowski.

W nadziei, że nasza propozycja spodoba się PT. Czytelnikom łączymy życzenia wszelkiej pomyślności oraz Szczęśliwego Nowego Roku – 2011!

Redakcja

POEZJA

Motto:

*„Nie ma dla ciebie okrętu – nie ufaj próżnym nadziejom –
nie ma drogi w inną stronę. Jakiś swoje życie roztrwonił
w tym ciasnym kącie, tak je w całym świecie roztrwonileś.”*

Konstandinos Kawafis

Michał Piętniewicz

„życie po życiu (forma poematowa)”

jest taki rytm: śmierć i narodziny po śmierci
można uzyskać spokój na chwilę a potem znów
zmartwychwstać w innym popiele w innym kurzu
granatowe słońce przedostaje się powoli przez białe firanki
pada na zielony dywan budzi mnie a ja przecieram
zaspane oczy patrzę na mojego psa którego nie ma

mój pies szczeka a w tamtej rozmowie był potulny
dzisiaj jestem bardzo poetą nie opisuję dnia
jedynie to co się wydarzyło a co nie ma nazwy
w żadnym ludzkim języku w żadnym psim języku
„twoja osobowość szczeka” powiedziała kiedyś kiedy jeszcze
byłem przywiązany cienką białą smyczą jak czarna nitka
która wydostawała się z jej płaszcza z jej włosów gdziekolwiek
one są tudzież gdziekolwiek ich nie ma „obecnie piję sobie kawę”
ach tak rzekłem i strasznie się ucieszyłem na tę nitkę
na tą brązową smycz mogła przecież palić dalej

proszę pana pan wybaczy dzisiaj jestem wyjątkowo smutny
ale niech pan się nie przysiada wolę pobyć sam obejrzeć film
eleganccy państwo (on ze smyczą ona naga) grają w swoje gry
ludzkie psie gry których nie do końca rozumiem
tak jak nie rozumiem ciebie maleńka chodź przybliź się
pójdziemy do miasta ty idziesz z bratem ja z koleżanką
i nie widzimy siebie chociaż bardzo siebie widzimy a przynajmniej
ja intensywnie ciebie widzę obecnie słucham jazzu
popijam whisky palę jednego za drugim oglądam Casablancę
na którą mieliśmy iść razem ale już nie pójdziemy
nigdy nie mów nigdy pozbądź się złudzeń obudź się to co było
i to co będzie a co chciałbym żeby było nie pojawi się
ani w najbliższej ani dalszej przyszłości twoje włosy
spięte długie twoje ubranie twój zapach którego nie czuję

po co to wszystko pan proszę pana raczy mi wybaczyć
ten zbyt długi monolog dzisiaj moja mama ugotuje kurczę
w rosoli z makaronem ja będę siedział i patrzył a ból
będzie powoli przeze mnie przepływał a pan przecież zdaje się
mówić że uniknąłem śmierci ale nie uniknąłem morderstwa
tak ma pan rację w tamtej zadymionej knajpie w której leciał jazz
nie mogłem się powstrzymać wyjąłem nagana z jej bluzki
albo inaczej: wsadziłem nagana w jej bluzkę i zamiast
dotknąć jej piersi wystrzeliłem obok a ten strzał ją bardzo
ale to bardzo przestraszył od tamtego czasu zrobiła się spięta
a ja poczułem się zrelaksowanym gangsterem który obok stacji
benzynowej popija kawę pije głębszego z lodem albo płytszego
bez lodu patrzy jak przepływają auta miasta biel

czy jeszcze wróci? wie pan one nigdy nie wracają
to my nieustannie wracamy do nich myślami pieścimy ich kolana
myślimy o ich włosach płaszczach sukienkach a one wybierają
takiego który doprawdy nie jest objszczanym oblojdrą i nie pisze
i nie mówi ładnie ale po prostu jest i nie boi się ich dotknąć
i nie boi się powiedzieć: „muszę iść” i nie boi się powiedzieć
„widzimy się jutro o dwudziestej” i nie boi się powiedzieć
„nie myśl o mnie” i pali w białej marynarce szluga
tudzież skręta i przypomina zupełnie Humpreya Bogarta

co z tobą twardzielu co ze mną piesku „obudź się
człowieku nigdy nie byłem twoja” w pewnym sensie byłaś moja
kiedy ciebie stwarzałem pismem i przez pismo ciebie dotykałem
i nawet byłaś blisko mnie mojego dotyku
tudzież mnie nie do końca realnego tudzież mnie realnego
cóż jest prawda powiadasz do mnie podwójnego
a przyzwyczaiłaś się że podwójny nie jestem tylko gram tekstem
il ny a pas de hors texte czy jak to było
nie nie byłaś nigdy tak bardzo tekstualna żebym nie mógł
ciebie poczuć ciebie dotknąć popatrz żółty księżyc nad morzem
powoli zanurzam się śnię w tej wodzie w tym jazzie
w tym zadymionym miejscu w moim mieszkaniu śnię o sobie

i o tobie gdy idziemy nad rzeczką po białych kamykach
kiedy przestałem brać stałem się dla ciebie innym człowiekiem
teraz znowu biorę i znowu do ciebie powracam pomalą

pan jest poetą tak poczciwy brodaczu ja nim bywam
kiedy chcę a kiedy nie chcę po prostu palę piję
kocham się ze sobą chodzę na filmy umawiam się z tymi
które nie przychodzą i jest bosko troskliwie pielęgnuję swój ymycz
brakuje mi jeszcze dobrych okularów spojrzenia Humpreya Bogarta
idzie jak z nut ten jazz ta chwila ten żółty soczek
ten żółty księżyc jazz brakuje nam obu miłości
brakuje nam obu kobiety ale gdyby tego braku nie było
i zamiast niego pojawiła się kobieta nasza czujność
zostałaby uśpiona jazz zadymienie nagan pies i biel
to są tylko wyrazy które powoli wylewają się z morza

i ty i ja i żółty księżyc czy pójdiesz ze mną na plażę?
nie nie pójdę nie mam ochoty dzisiaj jestem zajęta
ale póki będziesz pieścił swoje życie zostanę z tobą
w jazzie w zadymieniu w naganie psie i bieli

„Wylinka”

byłem u siwowłosej wróżki przed wyjazdem nad jeziora
powiedziała pan przeistacza się w motyla a ja widziałem siebie
w jeziorze kiedy bańka słońca wtapiała się w wodę czerwony
prążek u dołu
i płynąłem hen w szuwary odkryłem duchy dawnych niedostępnych
miejsc
przestraszyłem się nieco że zakłócę spokój tej wyspy duchy
mieszkały
gdzieniegdzie i kiedy oddaliłem się i popłynąłem z powrotem
zobaczyłem siebie
leżącego na wodzie na środku jeziora patrzyłem w niebo w białe
i niebieskie chmury
mój brzuch był wzdęty miłością i strachem niebo spadło na
mnie i wtapiało się we mnie

a siwowłosa wróżka powiedziała pan przeistacza się w motyla
i odtąd
żyć będę w baśni ogromnie się bałem tej przemiany i wylewu
z nią związanego
tak wąsaty lisie i ty starcze z brzuchem i bródką ogromnie
bałem się tej przemiany
lecz gdy leżę na środku jeziora i gdy czerwone słońce maluje
mi gębę (gospodarska twarz)
to widzę że przepływają miasta i konie oddychają świeżą trawą
i nawet kamienie
i gaik pośrodku nie znaczą zbyt wiele bo co znaczy co jest
najważniejsze

ta huśtawka z tyłu domku na której huśtam się z nadzieją że
ktoś przyjdzie
ale najczęściej nikt nie przychodzi jedynie czarne oceany które
coś znaczą
ha! ha !ha! Jestem dzieckiem murzyna a kiedyś byłem biały ha
!ha !ha!
kiedy cierpię to ubieram różowe majtki i idę z moją dziewczyną
na plażę i kochamy się
w rytm jej jakże kąśliwej nieobecności słońce jest wciąż w górze

a kiedyś kochałem się w bieli i anna była biała ten pyłek
u podnóża skały
teraz patrzę z oddalenia i z pewnej drapieżnej wysokości na
jeziora na przepływające
być może a niech będą być może niech będą te łódki te czerwone
i te zielone
kiedy z sieciechem płyniemy po skarb a skarb jest na końcu jeziora
co to znaczy? Nic tak naprawdę nie znaczy prócz mojego
oddychania huśtania się
na huśtawce w ciemności w nadziei że ktoś mnie odwiedzi i że
się będzie ze mną kłócił
bo każde złe ziarno jest zalążkiem dobrego ziarna a wolność

wolność jest w tym co nieobecne w tym co nie istnieje zbyt
mocno
jedynie prześwituje przez twarze butelki i wodę jedynie mimo
woli jest trwa
tak mimo woli

myślę o tym co zostawiłem i czego już nie odzyskam piszę ten
wiersz
przed moją śmiercią i przed moimi urodzinami wylinko przyjdź
do mnie
jesteś biała czarna zielona i niebieska wylinko zbliż się do mnie
pani motylico kochana pani motylico wylinko usiądź na moim
oknie
niech przypatrzę się twoim nóżkom twoim paznokciom wylinko
szare niebo

co jeszcze mogę panu powiedzieć a przecież pan to tak naprawdę
pani
wylinko jesteś cokolwiek chmurna dzisiaj wylinko czemu jesteś
tak ponura
wylinko chciałbym pobyc z tobą trochę dłużej wylinko nie zdradzaj
mnie
i nie opuszczaj mnie widzę swojego przyjaciela i jezioro a także
noc
która szeroko oddycha wylinko to ty czuję cię całym sobą morze
i przestwór

a czasem przecież wystarczy kawa pita o poranku w rytm
dogasającej muzyki
żaru który nie wiadomo skąd się dobywa wylinko to ty chodź
kochaj się ze mną
niech zobaczę twoją twarz niech poczuję twoją skórę zdejmij ze
mnie starą skórę
jezioro małe i wielkie jezioro i ty wylinko w stu tysięcy odmianach
patrzę jak przepływają przez ciebie miasta ptaki zieleń czerń
biel konie konie konie

i ten oddech który nigdy nie zdradza a któremu ja chcę zaufać
do końca
czym jest życie wylinko jeśli nie nieustającym zamykaniem
i otwieraniem pieczęci
tak widzę szare gołębie na moim balkonie ciebie widzę wylinko
jak stoisz niewidzialna
jak sprawiasz mi ból kiedy zdzieras z mnie mój pancerz

a ci którzy są już nie patrzą w pancerz tylko widzą ciebie wylinko
i może są równie podnieceni jak ja choć ja tego nie widzę wylinko

tak wylinko toczę się po pagórku spadam ze skały droga
jestem równocześnie żywy i martwy płuczę moje palce w wodzie

ale wychodzę inny jakby nie twój

„Przesłanie”

stoją nadzdy nad brzegiem skały
wszystko co pijemy wszystko co wydalamy
nie znaczy tak naprawdę zbyt wiele

jedynie to co ukryte znaczy coś
ale tego nie wiedzą poeci
być może psychiatrzy w białych kitlach
być może Jezus w prześcieradle ze światła

ale zanim mnie wtrąca tam jeszcze
będę w stanie coś napisać jabłko drzewo
jabłoń grusza i huśtawka świat nie przepływa
świat jest a to co w środku jest życiem

pytają mnie co robić odpowiadam tak
żebyś nie ranił możesz do niej napisać
jedną nogę masz w ciemnym źródle
drugą stukasz o szary chodnik i wybijasz

rytm i to że kolekcjonowanie dni milczenia
przestało być takie ważne

że możesz coś stracić i możesz coś zyskać
co zyskałeś? Jeśli to jest prawdziwe
a nie jest oszustwem w które wchodzisz z ufnością
może zapytać Jezusa lub Boga dlaczego
ale to pytanie traci na znaczeniu w obliczu
tego co jest

że kiedyś pisałeś na skórze a teraz płyniesz
pod wodą w wodzie stałeś się rybą pływakiem
jednocześnie na powierzchni i w głębi

i twardego gruntu nie tracisz pod nogami

wylewa się ciemność z ciebie na ulice
w kałużach

straciwszy siebie siebie zyskałeś
wylewa się głęboka ciemność z ciebie
na uśmiechniętych ludzi z parasolami

i tylko czasem tylko czasem
przypląta się gołąb

„to”

się zagłębiaamy słuchamy lekkiej muzyki
niedługo stanie się coś takiego

musisz do niej pójść i powiedzieć jej
słowa (to jedynie słowa)

kiedy cię przejrzy oszalejesz szaleństwo
jest dobre
kiedy nie krępuje ruchów

lekkie słońce migotanie różowe promienie
łódka i na niej znajomi
taplamy się w słonecznym zachodzie

może pójdziemy do domku?
słyszysz? może pójdziemy do domku?
i zrobimy dla wszystkich kawę
z mleczkiem i cukrem ale to
nie jest migotanie to jest
jest

się uspokoisz na huśtawce pod jabłonią
pod gruszą pod czarnym niebem

się uspokoisz kiedy się wylejesz
na szary bruk

UWAGA: NIEDŁUGO PRZYLECAĄ KOSMICI

się uspokoisz na małej chmurce się będziesz kiwał
błaźnie

to co dzisiaj niewiele warte
bez powierzchni

z powierzchnią warte jest więcej

a ona? kiedy jej powiesz i co jej powiesz
że jesteś?
poetą?

nie uwierzy więc musisz jej powiedzieć
że jesteś
człowiekiem

dzisiaj słuchałeś lekkiej muzyki na krakowskim rynku
żadnego gołębia jeno uśmiechające się dzieci ludzie
ci dorośli ci z brodą i powiewające kokardki

ty wiesz że ona może wiedzieć
ale w tym się nie spotkasz

możesz przyjaciela obdarzyć spojrzeniem
z przyjaciółką się przespać że będzie ci dobrze

ale to
to wciąż będzie w promieniach w czarnym blasku
niezależnie od tego co będziesz brał

zaburzony świat zaburzone niebo
zaburzeni ludzie i ty zaburzony kwiatku

odprowadzę cię do domu: o ty mała
spotkamy się w takim obszarze
że nie będziesz wiedzieć
ale poznasz

mała chmurko na różowym niebie
będę się topił w jeziorze w słońcu
w promieniach

a niebo nie będzie niebieskie

„Anna(nia) ciąg dalszy”

byłem na górze widziałem ruiny
doświadczyłem ruin sypało słońce chmury piasek chmur

Anna nia była ze mną przeważnie jest

Baudelaire, Stachura, może nawet Buczkowski, Hłasko
wszyscy mieli problemy

i za nimi wlokła się jak ołowiany cień

kobieta

w każdej godzinie ich życia była z nimi

a jej nieobecność była żywa namacalna i doświadczona

więc Anna nia jak się z nią czujesz ptaszku?

jak z ptaszkiem czarnym kwiatkiem który wędnie truchleje

buzię do słońca byśmy wystawili ty bądź blisko

Annie(nie) potrzebne jest słońce do umierania wędnięcia

zmartwychwstania

czujesz ten pogrzeb ptaszku? czy czujesz ten cmentarz i groby?

czy czujesz jesień? czy zanurzasz się w niej cały?

i czy potrafisz ją opisać jak dawniej?

z wnętrza i na zewnątrz osłabiony i mocny

hybryda

a w świecie czujesz się zanurzony w Annie(nie)

tak siedzimy ptaszku w tarnowskiej kawiarni

mamy swój ciepły polarek przeżywamy słońce soczek bananowy

pijemy palimy papierosy jesteśmy tak bardzo wsiąknięci

w Annę(nie)

cóż to byłby za świat gdyby się go dało opisać?

zwierciadło nie przechadza się po gościńcu zwierciadło jest wewnątrz

a ty się możesz przejrzeć w każdym w niej tak się przeglądasz

jak?

na spacer chodźmy na spacer do świata do świata
taplamy się w rytmie raz raz raz
na spacer chodźmy do świata do świata wypijmy
zjedzmy jabłko zapalmy papierosa

a czym jest język i do czego służy?

możesz napisać: rozpływam się w tobie anno jestem jednocześnie
czarny i biały
prześwitują nagie miejsca pęknięcia szyjki butelek sterczą
i oczekują na znak

możesz tak napisać i wiedzieć jednocześnie
że już nie możesz tak napisać

w momencie kiedy ważna staje się Anna(nia)
to co?

świat Anny(ni) staje się twoim światem
i ty będziesz z niej odtąd nawet gdy wejdiesz

wszystko się stanie prostsze kiedyś gdy nazwiesz
to jest furmanka to chłop z wózkiem to łóżko
to rozbełtanie a tamto płacz

wszystko stanie się prostsze gdy będziesz
i jednocześnie nie będziesz kłamał(aporja)
i gdy w miejsce aporii pojawi się dziecko
i zastąpi cię

Andrzej Szczepański

* * *

Papieros i piwko jasne
początek opowieści
tam dokąd nie dojdziemy
jest nasze dzieciństwo
i bóg
już nie sięgniemy po papierówki
odeszli muzycy
umilkło ludwinowskie tango
duch szerokobiałą wyrywa się na łąkę
i dalej na uroczysko
pogańskich zapachów

* * *

Jestem dziś niespokojny jak deszcz
z chmury przepisywany w chmurę
czuję słowa milknące na krawędzi kartki
i spieczenie warg
ból jest koniecznością
rzeką brzemieną ławicami
płaczem wytartym ukradkiem
pokutą koszonych traw i skargą wiatru
świat
musi jeszcze poczekać na rozgrzeszenie

* * *

Niebo mi przecież obiecało, że ciebie nie weźmie
miało cierpliwie poczekać choć rok i jeden długi spacer
wśród niedopowiedzeń napisane były słowa
ponad prawem, gdy staliśmy pokorni
wplątani w pokutę korytarzy i szpitalne szmaty szarości

niebo mogło poczekać jeszcze dzień, jeszcze dwa słowa
a lepsza pogoda miała ci przynieść cień i znak powołań

* * *

Wciskam dłonie
w kieszenie pełne głodu
– czy to wieczność?
a może tylko nieskończoność mgły
i schodów – – –

Agnieszka Szajer

* * *

skąd takie myśli
w ludzkiej głowie
przebłyśki świadomości
przyswajane w dzieciństwie
zapożyczone z podręczników
zastyszane od innych ludzi
mędrców filozofów
przygarnięte z książek

podsypane nieświadomością
ulegają racjonalizacji
wzmacniane logiką
odwieczne teorie
niezaprzeczalne poglądy
niepodważalne prawdy wiary

oczywiste oczywistości
nieznoszące sprzeciwu
nie uznające odmienności
niezgodnych z ustalonym porządkiem
głuche na konfrontacje
przyjętych bezspornie przekonań

wolne myśli indywidualistów
h e r e z j e
gaszone w zarodku
burzące wygodny ład tego świata
zakłęci zamknięci
zaszufladowani
ograniczeni wolnomyśliciele
wyzwoleni (non)konformiści
zwyczajni ludzie myślący inaczej
Łączcie się!

/16.III.2010/

„Oświecenie...”

A gdy już poznam wszystkie odpowiedzi
zrozumiem prawdę
powszechnie uznaną
czy wtedy pękne
jak bańka mydlana
rozdęta pustą energią wszechświata
zniknę w momencie
jakby mnie nie było

czy oświecenie da mi spokój duszy
która odwiecznie toczy bój zażarty
pomiędzy armią nieśmiertelnych pytań
niepokonanych dylematów
i nieskończonych odpowiedzi

z rażącą siłą prawd niezwykniętych
niepodważalnych tez przyjętej wiary
niezmordowanych teorezji
o niemożliwe i nieodgadnione
względne i niejednoznaczne
ograniczone w niepojętej wszechwiedzy

może rozwieje się w powietrzu
dech wiatru porwie mnie z łatwością
jak proch przyziemny, którym jestem
przez lekkość niepohamowaną
a jeśli pojnę
wiedzę ostateczną
rozplnę się w tej świadomości
choć nieświadoma wpływu jej ogromu

jak mgła poranna
w mroku wczesnej jutrzni
w imię potęgi pojednania bytów
wzniosę się w przestrzeń
wymiar niewymierny

jak dym bezwładnie
poddam się wzniesieniu
nadęty balon przepelniony gazem
niesiona ponad niepojętym stanem
zniknę – lecz trwać będę
po wieczną nieskończoność
w poczuciu światła i spełnienia
...jeśli dostąpię objawienia

/04.2010/

* * *

z zaciśniętymi zębami
pcham się przez życie
(awangardowa kontrowersja)
jak przez ucho igielne
droga przejścia do szczęścia
sztuka niebanalna
w swej realności niemożliwa
w rzeczywistości nieosiągalna

ile się trzeba napocić
nagłówkować, namęczyć
gimnastyka życia
dyscyplina wyczynowa
jak na starożytnych igrzyskach
gdzie stawką jest życie
jeśli ktoś lubi sporty ekstremalne

niekończący się maraton
w blasku wiecznego płomienia
upadła idea pokoju
zagubiony sens
cel odgórnie nadany
bieg ku słońcu
prosto w ramiona życiodajnego zabójcy

a czy nie lepszy spacer..?..
głaskanie i pieszczoty promieniami z oddali
z odległości stosownej
gdzie blask nie poraża
kto chce być Ikarem swojego losu...
nie mylmy pychy z apetytem życia

—

wszak ostatecznie jedno jest pragnienie
tego samego wszyscy chcemy

sztuką jest wiedzieć to przed czasem
lecz czy odpowiedź odnajdziemy..?...

/20.10.10/

„Niewolnik życia bożej hipokryzji”

pod presją słowa
wyrzekam się grzechu
lecz pożądania żądza pozostaje
nie milkną dzwony w ludzkiej głowie
zapach kadzidła wnet ciało zniewala
uwodzi zmysły – cielesność wyzwala
instynkt szaleje już nieokiełznany
choć schemat znany
scenariusz nieznany
każdy następny bardziej wyuzdany
od tekstu próby do aktów intymnych
grzechem okrywam święte zakłamanie
odkrywam lądy ukryte błaganiem
jękiem i krzykiem okupione czyny
tym wiarołomstwem
na zawsze skazany
niewolnik prawdy
miłości oddany
poświęcony sobie
na ołtarzu wiary

/23.10.10/

Marta Sowa

Z cyklu: „w listach ci opowiem!”

* * *

domyślam się ciębie!
w tobie się duszę – całuję znikam

p.s. gram główną rolę
w niemoralnych przedstawieniach
skąpo odziana w czerwoną szminkę

kiedy zapada kurtyna całuję się w winie
pogrążona – sprzedaję ciało –

brukowce duszą się we mnie

domyślam się. –

* * *

„odłożę ciębie na później!”

pomaluję ci oczy – błękitnie

p.s. zrezygnowałam z teatru
szminka była zbyt ciężka
z czerwienią nie jest mi do twarzy

w kapeluszach poczułam się
swobodnie – odkrył mnie –

elegancki Pan w starodawnym meloniku

odłóżę ciębie. –

* * *

„doskonale nie ma ciebie!”

przyniosę tobie truskawki – czy chcesz?

p.s. porzucił mnie elegancki Pan
teatr zaczął onieśmielać
kapelusze (...)

w tobie się czuję
nie nudzisz moich – ust –

pomalowałam tobie oczy błękitnie

doskonale jesteś obok.

K r z y s z t o f H u b e r

„Takie czasy”

Na drugiej randce nie zamieniłem z nią
Prawie ani jednego słowa
W ogóle byłem jakiś nie w sosie
Nieciekawe pytania
Niejasne odpowiedzi
Raczej wolę jednak blondynki

Nie powinienem jej tutaj zabierać
A przede wszystkim nie powinienem
Wczoraj się tak potwornie schlać

Cóż takie czasy
W dzisiejszych czasach
To ona równie dobrze może być mężczyzną

Tyle pamiętam z wczorajszej nocy
Że trudno to ustalić

A w razie czego mogę sobie spokojnie powiedzieć
Pomyliłem się
Upiłem się
Zagapiłem się
Poniosło mnie coś
Tak łatwo mogę sobie to wytłumaczyć w dzisiejszych czasach

Z wczorajszej nocy
Pozostała mi twarz upiora
Coś mnie tu łupie
Tam strzyka
Porobiły mi się zakwasy

Chyba nikt by mnie tak nie sponiewierał
Jak ta oto urocza dama
Która teraz poprawia sobie makijaż
I przebrana za siebie siedzi skulona naprzeciwko mnie

Ta samotna kobieta
Ten domniemany transwestyta
Przebiegły pedał
Oficer policji
Co wdziewa damskie ciuszki
Żeby capnąć gwałciciela

„Zaraz zaraz”

Być może to ten portret z porannej prasy
Widziałem dzisiaj w trakcie krótkiej podróży
W gruncie rzeczy tę gębę można by przykleić do wszystkich
Ale to chyba oznacza że wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń
Nie musi być wyłącznie przypadkowe
A ta oto puderniczka to być może magnetofon albo kamera

Takie oto rzeczy dzieją się w dzisiejszych czasach

I teraz widzę siebie blisko

A jednocześnie z dala od tego stolika
Na którym wystukuję palcami marsza
Para ram para ram para ram pam pam
I zdradzam się
A największą zbrodnią jest zdrada

Jednak to tylko Ojczyzna nie wybacza
Jako pierwsza
Za Wszystko inne
Można przepraszać bezkarnie
Niewspółmiernie do win

A widząc siebie z oddali
Z bliska widać całkiem zgrany duet

Do tego jeszcze cała ta historia wcześniej
to razem

OSTATNIE TAKIE TRIO

W tym burdelu

Gdzie okazuje się po raz kolejny że za naszymi plecami płatni
mordercy

Z Których jeden miał być tajemnicą dla drugiego

Nie pozwolą nam dotrzeć do końca tego antraktu

* * *

Ja tu jeszcze wrócę
Jeszcze z niezłym szmałem
Na blat rzucę
I wyrwę to miasto ze snu

Aż błyszczyć bardziej będą neony
Z fontann tryśnie czerwona wiśniówka
Wszyscy będą się w niej pluskać
Prezydent
Biskup

Komendant
Mecenas
Niesławna tutejsza bohema
Wszyscy jak jeden mąż

I splunie na to wszystko
Niejeden przypadkowy mężczyzna
Niejedna przypadkowa kobieta
Bo oni inni muszą być niż my
Janusz M.
Bruno
Berger i ja

Wreszcie maszkaronom się ucieszą ryje
Zejdą dostojnie ze starego ratusza
Raczej zupełnie nie strasznie
Raczej łatwiej w końcu zasną
Odchodząc od tego co mnie dzieli od świata
Z chwilą gdy wracam powracam
Przyjadę
Zostanę
Z chwilą gdy pozostał mi jeszcze ostatni dylemat
Gubiąc się wśród ulic
Kamienic żywych cieni
Taryfa
Kredyt
Gotówka

Zaczarowana taksówka
Zaczarowany taksówkarz

I z a b e l a I w a ń c z u k

„Open Fryderyk Szopen”

kluczem wiolinowym otwiera
herbaciane niebo

świerszcze grają upał

murzynek nocy
roztapia się
wschodem słońca

„Open Fryderyk Szopen, 2”

kluczem wiolinowym otwiera
herbaciane niebo

świerszcze grają upał

murzynek nocy
roztapia się
wschodem słońca

„Czy”

czujesz ukryty ogień w sobie
panie Sand

czy dziś zasnę
twoja Chopin

„Mistrz”

siada przed trumną
anioł podnosi wieko

przy Nim nawet
anioł szaro wygląda

przez czarne wieko przelatują komety
skrzydło fortepianu odbija klawiaturę gwiazd

gra z życiem
nie naśladuje Chopina

potrafi zabić smutek wskrzesić melancholię
ogrzać pieszczotą klawiszy

trumna nastroju chwila ocierania potu
trumna fortepianu ożywa nutami róż

wzrusza się genialnie
na ziemię spadają nokturnami łzy

Mistrz jest znany
stworzył pierwszy na świecie erotyk

ostrzy erotyk słońca
i pokonał śmierć

Wiersz inspirowany nadzwyczajnym recitalem fortepianowym amerykańskiego pianisty Kevina Kennera, który odbył się 12 września 2010 roku w ramach 44. Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słupsku.

„Prostota deszczu”

most biegnie prostopadle do deszczu
w oczach łania
w biegu kochania

Ewelina Kogut

* * *

Stwórca siedział na drzewie
a jego nogi bezwładnie wisały
nad szarym sklepieniem
przez niektórych zwanych ziemią

Chmury piętrzyły się
jak pałac niebieski
kumulowało się światło
w rozszerzonych ścieżkach dłoni

Stworzyłeś mnie
na podobieństwo głazu
szarym, bez uczuć
emanującym naiwnym ciepłem

Uciskasz me myśli
łapiąc je dużymi szczypcami
ponad wyraz przeciętna
brzydota i zło
co rano z ciałem wstaje

„Ziggi”

Ziggi nie mówi
trująca farba
skleiła jego język
w zabawną trąbkę

Ziggi nie słyszy
za głośno protestują
jego myśli niewypowiedziane

Ziggi jest napiętnowany
przez stado mężczyzn
w białych, śmiesznych przebraniach

Męczy go jego kolor skóry
– on nie rozumie
dlaczego został owocem nienawiści

Płomienie po dwóch deskach
skleconych ot tak, na krzyż
z cichą wesołością wędrowały
w kole
za dnia końca
Ziggi został ukamieniowany

* * *

Ze wszystkich moich wcieleń
kochałam być rosą
w wiosenne poranki

skołtunione głowy latawców
błądziły po świecie
wydmuchiwane co ranka
ze swych domów

A ja leżałam rozproszona
podzielona na błękitne krople
chmury leniwie sunęły w górze
zrzucając cień na złote potoki

I przyszła zima
białym bezkresem
przykryła nas
na setki dni

„Miłość”

Miłość jest wężem
zatruwającym ciało jadem
oplata kościste dłonie
wieszając je na płotach
opustoszałych wsi

Karmi się
obłudnym słowem
– modlitwą mdłą
przeżuwa resztki chwil
ucieleśnionych przez ludzki błąd

Dziecię
tulone w przerwie
na matczynej sen
umarło z braku tchu

* * *

Łódź dobiła do brzegu
– ostatni rejs został zakończony

Uklęknął nad wodą
przesypując piasek do dłoni
– zabiorę to ze sobą

wyszeptał
i zdarł prześcieradło z zachodem słońca

Leżał ze spojrzeniami
zawisłymi na drugim brzegu
stamtąd przy płynął
kursując całe życie

Tyle było błędnych portów
i nieraz musiał zawrócić
ratunek miał kształt koła
jak księżyc w pełni
pośród mórz samotnych
widział tam
jedyną z właściwych dróg

* * *

Utkąłam dla kłamstwa
z pajęczych nici dom

Jak wiatr rozdmuchiwało go życie
stworzone ze słów
Mój cień otulał mnie złem
jak czarną kurtyną
zakrywał scenę moich dni
gdy tam toczył się bój
o moją duszę

Pewnego zgubiłam Cię,
przeklęta niewiedzo
– z za drugiej strony kurtyny
na palcach stał jedyny stróż
ukryty w głębi prawd

Dariusz Romanowski

„Czasami świat...”

Czasami świat kurczy się
Do rozmiarów serca
O znajomej skądinąd barwie
Pękniętych strun życia
Bezdźwięcznie wdzięczących się
Echem fałszywych tonów
Wydobytych spod zranionych
Opuszków palców losu

Czasami świat kurczy się
Do rozmiarów rezonansowego pudła
O znajomym skądinąd kształcie
Zepsutej femme fatale
Bezdźwięcznie wdzięczącej się
Drgnieniem fałszywych uniesień
Wydobytych spod rozpalonych
Opuszków palców mężczyzny

Czasami świat pozbawiony
Echa drgnień fałszywych
Rośnie i rozbrzmiewa
Barwą prawdziwej melodii

„Bez happy endu”

Scenariusz jak
Z kiepskiego filmu
Król Kier
Spotyka
Damę Pik
Zawłaszcza wszystko
I żyją razem
Niezbyt długo

Ale za to
Do usranej śmierci
Najczęściej jego

Natalia Ewa Tryba

„Wyśniony seans”

Stój! nie odchódź.
Przecież... nie miałeś być krótkim epizodem.
To nie była gra...
To nie miała być twoja rola.
Ona miała spacerować –
ale tylko we własnym umyśle.
Zamknięci w odłamkach potłuczonych luster,
mieliście marzyć o sobie i śnić .
Wszystko oprócz was miało mieć kolory,
ale tylko wtedy gdy na niebie była tęcza.
Ale ty grasz...
W otchłani czasu i zapomnienia
gwoździem do deski przybijasz uczucia.

Trudno – odejdzie.
Nie wie czy może całować obcą osobę z amnezją...
Nie, nie wróci .
Nie zatrzymuj jej...
Kurtyna opadła.

* * *

Zgasły światła
Spustoszały ulice
Wąska droga
Krzyk tłumiony ciszą
Noc i dzień
Nostalgiczny spacer
Szukanie siebie w sobie

To dobry moment
Bo w ciszy słycać duszę

„Naiwni”

Dorośle dziecinni
Odnaleźli
Siebie
W sobie
Łączą ich uczucie
Tak kolorowe
Jak tęcza
I tak samo
bezbarwne
Kochają nienawidząc
Szczęśliwie
Nieszczęśliwi

„Niepewna pewność”

Raniona ostrzem róży
Kojona twoim szeptem
myśli jak się czujesz

pewnie znów poalkoholowodepresyjnie
pewnie tak
pewnie nie myślisz teraz o niej

trudno

„Chodź”

Chodź ze mną
Odkryjemy nieznaną krainę
Chodź, może w ten zwykły dzień
wydarzy się coś niezwykłego
Chodź, wyruszymy z uśmiechem na twarzy

Chodź, będziemy jednością
nie zawahamy się przed niczym...
Dlaczego się boisz?
Dlaczego...
Chodź...
Chociaż sama nie umiem doskonale żyć
nauczę Cię życia.

* * *

Szukając swojego miejsca
Podążając mylnymi drogowskazami
Zmienić się
Oglądać teatrzyk szaro-szarych kukiełek
rzucających kolorowe cienie
i wyobrażać sobie
bezgraniczne szczęście
albo pozostać sobą
tkwić w seansie ciemnych dni

* * *

Niech sobie będzie
Wytknięta palcami
Wyklęta ciszą słów
Brakujących do pełni zdań
Niech sobie jest
Układanką bez elementu
Dziurą w całym
I głuchym echem
Ale niech się nie zmienia
Niech sobie będzie
Sobą.

„Cisza dźwięku”

Witajcie w teatrze
Człowieka o stu twarzach
Który śpiewa całym sobą
życie jest jego melodią
cisza dźwiękiem
uczucia tekstem
Nie bójcie się
Człowieka o stu twarzach
Jeśli zaśpiewa o was
i tak go nie poznacie

* * *

Nie, Ty pewnie nie masz czasu patrzeć
jak ku niebu wzbija się ktoś
kto nie umie latać
Ale spójrz, potrzebuje Twojej pomocy.
Ale Ty pewnie nie masz czasu pomóc.
Myślisz, że nie warto, że był zbyt głupi,
że był... ale już go nie ma.
I już nie musisz się zastanawiać.
Choć pewnie... nie masz czasu myśleć.

* * *

w poranku zachodzącego słońca
tkwisz
niezupełnie obcy
niezupełnie sam
niezupełnie ty
niby niesmiertelny
ironicznie śmiejesz się
ze słabszych od ciebie
układając metafory
z ich starych zdań
zamrażasz ciepłe słowa

roztapiasz chłodne myśli
niezupełnie obcy
niezupełnie sam
zupełnie ty

„Nieożywiona”

Tak pięknie wyglądałeś
Ubrany w jej słowa
W rozdartych szeptem ubraniach
Wpatrzony w jej duszę
Siedziałeś na krawężniku
By być tam gdzie się pojawiała
Patrzyłeś
Ale niezupełnie na nią
Wymyślałeś ją sobie
Tak jak przyjaciela z dzieciństwa
Mijając kamienice
Szukałeś jej
Nawet w zasłoniętych oknach
Ale nigdy nie widziałeś jak wygląda
Ocierala się o Ciebie
Z dnia na dzień była bliżej
Ale pewnego dnia zniknęła
Wściekły rzuciłeś kilka słów na wiatr
Usiadłeś
Na tym samym krawężniku
Chciałeś przestać o niej myśleć
Minęło Cię kilku ludzi
Kilka par
Zadałeś sobie pytanie
Kiedy znajdę swoją miłość?
Ale nikt nie odpowiedział

„Game over”

Wygrałeś przegraną
twierdzisz że to pech
znowu to samo
mylisz się
coś wygrałeś
ale błądzisz
wokół tych samych
wydeptanych ścieżek
bo tak jest prościej
i nie masz czasu wrócić
na wszystko jest za późno

* * *

idź spać
wyimaginuję sobie ciebie
nie musisz być obok

patrz
znowu chowa się słońce
i tak zwyczajnie robi się ciemno

idź spać
tak łatwo jest być częścią kogoś
nie będąc blisko
będę przy tobie
nie musisz być obok

Zbigniew Mirosławski

* * *

Refleksje po lekturze powieści pt. „Kochanek”

To przeprawa ale nie tylko przez Mekong.
Nie potrzeba małej Francuzki
i Chińczyka w czarnej limuzynie.
Marguerite Duras
nie napisała nawet jej imienia.
Cały opis
to: kapelusz z szeroką wstążką,
złote pantofelki, jedwabna sukienka
oraz gotowość, aby iść z nim do garsoniery.
Oddzielonej od ulicy żaluzjami i storą
ale miejski zgiełk
nieustannie tutaj dobiegał.
Ona nie będzie potrafić pokochać nikogo.

Kochany i opuszczony jednocześnie
– kochanek,
czeka na obu brzegach rozpaczy.
To opowieść o tym,
jak przeprowić się na lewą stronę
własnej skóry.
Pozbywać w jednej chwili:
pożądania, lęku, przyszłego...
i minionego czasu.
Jak iść do świata,
rozświetlonego marzeniami
i uczuciowej pustki,
jak potrzask niespodziewanej.

* * *

Kolejny raz do Krakowa,
koleją w koleiny czasu,
w rozgrzane upałem lipcowym
godziny, jak Roztocza wąwozy,
w opuchnięte minut szczeliny,
w rozszczepione sekund tarasy.

Ile znam różnych Krakowów?
Ten z lat siedemdziesiątch,
trochę senny, trochę magiczny,
przemierzany przez księdza Czartoryskiego,
nostalgiczny i w przestrzeni zamknięty.

Kraków wspominający Franciszka Józefa,
z końca XIX wieku, find de sicle'owy
z opowiadań cioci Marii Rachlewicz:
o pogrzebach Mickiewicza, Wyspiańskiego,
o rybakach nad Wisłą
na skarpie ulicy Zamkowej (na wprost Wawelu).

Kraków w blaskach latarni
ale bez artystów z Jamy Michalika,
za to są: Skrzynecki, Wójcicki, Wójtowicz,
profesor Rożek odkrywający zabytki Kazimierza,
cmentarz Remuh
na którym spotkałem rodzinę Nusselbaum'ów
przy grobie cadyka.

Obecny Kraków obiecujący „raj” zakupów
w Galerii przy Dworcu Kolejowym,
zasłonięty reklamami,
trochę jak z Disneyland'u, trochę z McDonald'a.
Gdzie Mirek Kerim, smagły,
o arabskiej urodzie, chłopiec
w chińskich szortach

i angielskim napisem na koszulce
„Brother hood Blood”,
z polskim kolegą, biegną do ...Arki Noego?

Czy Kraków ocali się z holocaustu historii:
okradanych bibliotek (w tym Jagiellońskiej),
rozkradanych zbiorów na Wawelu!
Co zostanie na potem z Niego?
Na tarasach sekund, w minut szczelinach,
w rozgrzanych wąwozach
godzin (stu) letniego (po) żaru...

27.07.2007 r.

* * *

Muszę jechać!
Ziąb przenika, wiatr wieje.
Chłód jesieni forpocztą się zapowiada.
Niedziela, pusto na dworcach:
autobusowym, kolejowym.
Pociąg o godzinie dziewiątej nie jedzie...
Przede mną cała godzina
na rozmyślanie,
choć to nie Okęcie, ani inne lotniska:
Europy, Ameryki, Japonii.
Skończyłem czytać książkę
księdza Hellera „*Podróże z filozofią w tle*”.
Arcyciekawa.
Jak wyprawa poza granice
Układu Słonecznego
do początków Wszechświata,
w sferę ułudy, modeli i schematów,
teorii superstrun
i do brata pierwotniaka, bakterii LUCA!*

Czy teraz inaczej patrzę
na otaczające mnie przedmioty?
Już wcześniej

byłem świadomy pokrewieństw
i relacji pomiędzy rzeczami.
Dostrzegałem „...wieloświatów antagonizm...”.**
Ta lektura "przyszła do mnie",
kiedy nastąpił właściwy moment
umocnienia mnie w niejasno przeczuwanych
ale stanowczych przekonaniach.
Matematyka przystanków życiowych
stawia nas jak punkty na osi współrzędnych
pomiędzy koniecznością a szansą wyboru.
Jesteśmy określani
nie przebiegiem upływającego czasu
ale ciasnotą kapsuły chwili obecnej
– wiecznego Teraz,
które można rozszerzyć
jedynie poprzez myśli wspólnotę,
indukcję i dedukcję: siły wiary, miłości i nadziei.

* *Last Universal Common Ancestor* czyli *LUCA*.

** Cytat z wiersza pt. „Przeciwstawności”, zamieszczonego w zbiorze „Czasu bramy”, 1992 r.

„Odjazd z T.”

Skład kolejowy
z otwartymi na przestrzał drzwiami
przesuwa się po bocznicy,
żar leje się z nieba.
Pot kapie z mojej szyi i brody.
Martwota skwarne go popołudnia
opanowała cały zrujnowany dworzec.
Metalicznie pobrzmiwający głos
wydobywa się z blaszanych głośników.
Piszczą hamulce pośpiesznego
z Zamościa do Krakowa.
Nieliczni podróżni pakują
ociężałymi ruchami swoje bagaże.
Peron pozostaje za nami.

Otwierają się polne pejzaże.
Za pierwszą rzeką zjawia się
miasto chaotycznie przemieszanych
„terenów zielonych” i stawianych,
gdzie się dało domów.
Wszystko przypadkowe,
jakby wysypało się nagle
z „worka przeznaczenia”.
Słupy elektrycznej trakcji,
sygnalizatory i semafony tworzą brudny gąszcz.
Jupitery stadionu tutejszego klubu
znanego głównie dzięki sekcji żużlowej
żegnają wyjeżdżających stąd
na chwile i na zawsze.
Co w pamięci zostaje?
Rynek na pewno nie brzydszy
ale stanowczo bardziej zaniedbany
niż te, które oglądałem
w Pszczynie i w Cieszynie,
Wadowicach czy morawskim Ołomuńcu,
miastach na pewno nie bogatszych.
W pamięci - zaśmiecone:
Lwowska i Krakowska
i boczne uliczki,
chyba nigdy nie sprzątane,
na których śmieci po zimie,
leżą jeszcze w lipcu!
Pozostaje żal
godzin przespacerowanych,
w czasie których nic się nie działo!
Miasto-widmo, sen niezrealizowany,
miasto-porażka?
W którym nawet kino „Marzenie”,
marznie zamiast marzyć
o chodniku z płytami
błyszczącymi filmowymi gwiazdami.

29.07.2008 r.

PS. Dzisiaj na szczęście w T. nie ma już zrujnowanego dworca PKP.

Monika Chytróś

„Alleinesein”

A pewnego dnia
wykruszy się niebo
odslaniając kości

Słońce odejdzie
na emeryturę,
dorosną Gwiazdy
i Księżyc zaśnie na długi czas

A pewnego dnia
z niewidocznej ręki
spijemy ostatnie drzewa
i Świat przyzna,
że kłamał całe życie
biegnąc zbyt szybko

A pewnego dnia
obudzi się serce

za horyzontem
nieskończenie daleko
utopi się świadome
utruty tego, co największe
– Umarł Czas.

– –

Godgott La Morgue

Izabella Tarasiewicz

„Chwila”

Udajemy, że nic nie było

Udajemy
Tak naprawdę wiele się zdarzyło.

Nie wiesz co tracisz

Czuliśmy do siebie to wzajemnie

Ale wolisz udawać
A mogło być tak pięknie.

„Spacer”

Przechodząc pomiędzy drzewami
Patrząc na pary
Które mają szczęście...
Że się odnaleźli
W tym często brutalnym świecie
Zazdrość
Tak często słyszę to słowo
Tak często kierowane
Do mojej osoby
Mam z czego się cieszyć
I mam co zazdrościć
Usychamy
Jak ta róża
Którą dostałam kilka dni temu
Od Ciebie
Na pożegnanie...

„Tylko albo aż”

Proste
słowa

Tylko tyle jest potrzebne

Jasna, krótka, zwięzła odpowiedź

i nic więcej.

Nie umiesz się wysławiać

Nigdy nie umiałeś.

Jakie to zabawne

bo...

Człowieka nie można zmienić od tak.

Za jednym pstryknięciem palca.

Potrzeba ich więcej.

Ale jestem jakby za słaba żeby się na to wysilić.

„marzenia”

Ziemia i atmosfera.

Sny a w nich marzenia

i człowiek blednący, umierający...

pełen nadziei, że coś się jednak zmieni

że czas się zatrzyma...

że bieg historii się zmienia...

że śmierć zrobi krok do tyłu,

że przeżyje jeszcze wielu...

że wojna nie nadejdzie,

że piękniejszy świat kiedyś będzie...

ale wie, że to marzenia.

„ludzie”

Dążą do celu po trupach

Ale to nie do celu jest dla nich ważniejsze,
ale po trupach.

Fałszywi.

Dwulicowi.

Upokarzają Cię bo tak im łatwiej.

Odbiorą Ci to na czym najbardziej Ci zależy.

Tak. To ludzie.

Mariusz Mitera

* * *

codziennosc brutalnie
zraniła Duszę,
przybiła jedną jej rękę
gwoździem do drzewa...
marzy ci się kraina
łagodności?
nic z tego, moja droga,
zostaniesz tutaj.

* * *

iskierka się żarzy,
gdy sobie marzysz,
gdy sobie myślisz,
co ci się przyśni,
promyczkiem lśni w mroku,
błyszczą w twoim oku
łezki błyskotką,
zwykłą blahostką,

szczęściem błyszcząca
chwila nadchodząca.

* * *

kanapka ze śniadania
już wyschła,
kawa oddała ostatnie
ciepłe tchnienie,
jej zapach wywietrzał
wśród pustych ścian,
a ona patrzyła
tęsknie pragnąc
do nich dołączyć.

* * *

anielle mroczny,
w prezencie przynosisz mi
cierpienie,
siostrzyczko Depresjo,
chcesz zabrać mnie
na kojący spokojny
spacer wąską ścieżką
nad urwiskiem,
„to nic” mówisz
„że kręci ci się w głowie,
to nic, chodź ze mną”.

„nadzieje ćmy”

spieszą się w stronę światła,
nieważne, że zginą
w płomieniu nadziei,
co tam, byle dotrzeć
do lampy,
a potem niech rządzą bogowie.

K r y s t i a n J a n i k

„Oblęd”

Zrozumiała wszystko, szatan nie kobieta.

S. I. Witkiewicz 622 upadki Bunga

Niczym ogromny pająk
czyhający w krzyżu ścian
czai się oblęd.

Śnieg prószy.

Idę przez zasypane
śniegiem leśne drogi
prowadzące w głąb umysłu.

Ogromne sosny
uginają się przytłoczone
nadmierną ilością mokrej bieli.

Odnajduję drogę
prowadzącą do mojej
prawie samotni.

Śnieg prószy.

Dni płyną
umierając niespełnione
w wodospadzie nicości.

Maluję obrazy ciała
a tak chciałbym malować
obrazy duszy.

Czwarta rano.

Ktoś mnie trąca
ktoś do mnie mówi
o mojej woli
której nadmiar gnije
o tym że tracę moc
tonę w mroku.

Wilki wyją.

Szpiczastobrody wędrowiec
mówi do mnie ust swych nie otwierając
Pan musi brać życie za łeb¹.
Wilki wyją.

Szpiczastobrody wędrowiec
patrzy na mnie jakby
w ogóle nie patrzył.

Ósma rano.

Wyjeżdżam
ona nie płacze
nie próbuje mnie zatrzymać.

Śnieg prószy.

Wyjeżdżam
ona wie że to nasz
ostatni wspólny poranek.

Śnieg prószy
ona nie płacze.

¹ cyt. za S. I. Witkiewicz, *622 upadki Bunga, czyli Demoniczna kobieta*,
Warszawa 1972.

Śnieg prószy
śnieg pokrywa końce rzęs.

Moich rzęs

„Inferno”

płyniemy podziemnym oceanem
czarnej krwi
martwi lecz żywi
wśród bólu i rozkoszy
trwamy jeszcze
przed nami nie ma nic
przed nami wielka otchłań

jesteśmy w piekle
kto raz tu wszedł
wiatr rozwieje jego prochy
gorące piaski Tofetu
parzą stopy
przeklęte terafimy
płoną zaklęte w kamieniach

jestem w piekle
konstrukcji wyśnionej
przez kapłanów światła
jestem piekłem
płomieniem prawdy
zapomnianym przez Boga
trwam jeszcze

„Zazdrość Boga”

Drewniane stele obległa szarańcza
Skuty łańcuchami żądz mej niemocy
Ja – Pan Zastępów piekielnych obłoków
Doliną Jęków władam tchnieniem martwym.

Karmiony grozą Dnia Ostatecznego
Bezpowrotnie poznawałem terytorium
Twego ciała – byłem stubarwnym deszczem
Kiedy Bóg okrył nagość całunem klątw.

Ja – Szatan, Lucyfer, Belial, Lewiatan
Goniłem motyle ścieżkami Raju
Pamiętam rozkoszny dotyk księżyca –
Złociste trawy przekraczane węzem.

Kończy się dzień – nie odnajdę kurhanu
Ogarnia mnie Szeol – tylko słyszę jak
Wśród szeptów leśnych owadów szkielety
Kaleczą stopy niewolnic haremu.

„Spacer we dwoje”

kształty dnia zlewają
się i gasną tworząc
bezpłciową ciemność
idziemy sami
bezwstydnie dotykając
się koniuszkami palców

płoniesz jak pochodnia
greckiego wojownika
drwiącego z bogów
w blasku luny
widzę jak z ust
cieknie ci ślina
zapach twojej
spoczonej skóry
miażdży krtań

upadam przytłoczony
nadmiarem kipiących
we mnie żądz

czuję jak wylewa
się ze mnie gorąca
substancja życia

widzę siebie
widzę jak wstaję
i rozdieram jedwab
widzę i już się nie waham
dążyć drogę do spełnienia
najdzikszej śmierci
mojej śmierci
pozostawionej w tobie
w twojej śmierci

M i c h a ł R a m s - Ł u g o w s k i

„Kasztan”

Jeden kasztan jesieni nie czyni
A przyplątał mi się pod nogi jeden
Jeden, a ja zaklinam po trzykroć:
Matko naturo, do rzeczy przechodź
Śnieg, mróz, zawieje i pod komin zaspę
Lub
Upał, światło, w nocy deszcz chłodny
Szanuj mój czas, parasol i beret
Podchody, mruganie – to dla dzieci sztuczki
Dwie pory roku
Bez płaczu, depresji
Dwie pory roku
I szczypta wiosny

„Lekcja”

Boże coś Polskę
Zakończ już tę lekcję
Epitet i nuda

Tron tu przejmują
Sen i zmęczenie
Atak szykują
Rąbie już drewno
Siekierą z nudy
Drewno na deski
Deski do Budy
Do ścian się tuli
Parada żuli
Limbę toczą pleśnie
Tak widzę we śnie
Oniryzm, cisza
Głos, definicja
Oczy sklejone
Na koniach milicja
Weiss, melancholia
Przerwa-Tetmajer
Wiersz niepoznany
Nazwisko – bajer

Kula za kulą
Uderza w płot
Znak edukacji:
Stępiony młot

(J. polski, ok. 18 V 2010)

„Fortepian”

W domach, gdzie ściany płaczą tynkiem
Gdzie dach z dachówek wyłysiał
Przy których pudło jest lepszym budynkiem
Bo zarys ma bardziej zamknięty
W tych ruinach, co je bluszcz bez wstydu porasta
Gdzie zadomowi się czasem kot
W murach na obrzeżach mojego miasta
Stoi czasem fortepian bez nut
Woła do mnie rozwartą klapą

Bym zagrał na nim akord lub dwa
Lecz ja go nie ruszę tą zwinną łapą
Gdyż on się rozsypie
A razem z nim ja

B a r t o s z B a r a n

„My jesteśmy poetami”

My jesteśmy poetami
Szukamy dróg płynących w zachwycie
Nicość zamieniamy w krystalicznie czyste słowa
Każdą chwilę kształtujemy najprostszymi gestami
Dla nas nie ma barier doskonałości
My jesteśmy poetami
Sami w sobie doskonali
Nie szukamy olśnienia w dotyku księżyca
Ani nawet ukojenia w spojrzeniu gwiazd
Dla nas najmniejszy oddech jest spełnieniem
Czerpiemy natchnienie nawet z bezsilności
Każdy szept wiatru to krzyk naszych dusz
Krople deszczu to niegasnąca tęsknota
My jesteśmy poetami
Nie chcemy aplausów za genialny wiersz
Ani szczypty uśmiechu za wskazaną drogę
Chcemy wolności i bezgranicznego wzruszenia
Tak mocnego jak muzyka Chopina
Jesteśmy ludźmi z innego świata
My poeci, troszkę różni od cywilizacji
Wystarczy dla nas niewiele
By stać się wielkim

03.10.2010

„Przyjdź do mnie...”

Przyjdź do mnie
Jasnozłota chwilo beztroski
Spocznij pod spokojną głową nieba
Wtul swoje ramiona w spękane od mroku chmury
W ciepłe nagłego olśnienia
Znajdź czas na gościnność snu
Obejmij delikatność deszczu
Jednym, gładkim zwierciadłem dnia
Daj mi dostrzec łuki cieni błękitnych
W smukłej okazałości jesieni
Przyjdź do mnie
Jasnozłota chwilo beztroski
Bo tak trudno zanurzyć się
I jednocześnie chodzić
Po tej samej rzece
Bezowocnych kroków
Gdy w ogrody bólu
Dmuchaają dwa wiatry

8.XII. godz 4.20 rano

D o r o t a M a z u r e k

„Anioły”

Kiedy słońce schowa się za horyzontem
A noc przesłoni cmentarze
Tylko słabe światełka
Rozjaśniają anioły z kamienia,
Które myślą, że ktoś je dostrzeże.
Pochyli głowę nad grobem
Zapali iskrę nadziei,
Głęboko w sercu,
Które skrywa pamięć o bliskich.

„Zwierciadło”

Zaduma ogarnia każdego z osobna
Musimy się zastanowić nad życia kresem
Co jest po drugiej stronie?
Ciemność
Harmonia
Radość
A może nicość?
Nie można tego przewidzieć
Nie można odgadnąć

„Zamknięte”

Zamknięta w pokoju
w ciszy skrywam emocje puste
tylko na stole telefon głuchy
jakgdyby chciał mnie schwytać
chowam się w mroku
emocji nie okazując
nie ujawniając w ten sposób
stanu duszy

A g n i e s z k a W ó j t o w i c z

„Mgła nadziei”

Na zamglonym cmentarzu płomienie złociste
I groby w barwnych bukietach.
Ludzie przychodzą myśląc o tych,
Którzy odeszli.
Wspominają swoich znajomych,
Osłaniają znicze od wiatru,
dla tych bliskich płomyki ciepła
i liście na grobach niczym mgła gęste.

Kinga Zegar

„Uśmiech”

Uśmiech... – cóż właściwie znaczy?

Uśmiech... – to taki przyjemny gest,
którym jest obdarzony każdy człowiek...

Uśmiech... – przyjacielski, koleżeński, uroczy,
a szczególnie gdy osoba, która go posiada ma piękne oczy...

Uśmiech... – zakochanych, który zdradza wszystko...

Uśmiech... – tak niewiele, a zarazem wszystko...

„Pożegnanie z przeszłością”

W błękiecie źródlanej wody,

W jaskrawości gwiazd,

Na niebie wśród obłoków ...

Jest ciszy blask.

Wiruje przed naszymi oczami marzeń i snów nikły cień.

To wszystko już jest za nami...

Odeszło gdzieś w szarej mgle...

Te smutne i szare dni przeszłością stały się dziś.

Żal tych straconych chwil, gniewu, wybuchów złości,

Braku cierpliwości, zimnego jak lód wyrazu twarzy...

Gdyż nic dwa razy się nie zdarzy.

PROZA

Motto:

„...Juda wyjechał z Alfredston wózkiem do wsi leżącej najbliżej miasta, a przez pozostałe cztery mile wędrował piechotą, z wyboru raczej niż z konieczności, bo zawsze marzył, że właśnie w ten sposób przybędzie do Chrisminster...”

Tomas Hardy „Juda Nieznany”

„BŁĘKITNE OKO”

Zawsze nosiła niebieskie skarpetki. Grube, ciepłutkie skarpetki. Kupowała je w sklepie na rogu Głównej Ulicy u bardzo przebrzydłej sprzedawczyni. Mimo iż nie grzeszyła urodą jej otwartość i serce były niczym łata zasłaniająca dziurę w spodniach.

Siedem par – na każdy dzień tygodnia inne i tylko ona potrafiła rozróżnić, które mają być założone w poniedziałek, a które w piątek. Czasem z nudów próbowała nauczyć mnie, które są niebieskie, a które niebieskie. Fakt – nigdy nie nauczyłem się tej lekcji na pamięć. Dla mnie niebieski jest niebieski wszakże istnieje bardziej lub mniej niebieski. Ale i tak jest niebieski. Lecz pamiętam, że pytana, dlaczego wszystkie pary ma w jednym kolorze odpowiadała, że to kolor aniołów. Śmiałem się wtedy, bo ona nie należała do ziemskich aniołków. Na twarzy odznaczyły się nie tylko zmarszczki starości. Jej dawne życie usłane było wyjątkowo hulaszczymi różami. Sam diabeł wie ile litrów przetoczyło się przez te żyły, ile dymu wchłonęło to gardło. Ale zawsze nosiła niebieskie skarpetki. A ta brzydka aczkolwiek miła pani ze sklepiku zostawiała trzydzieści dwie pary każdego miesiąca – na wypadek gdyby któraś zaginęła lub zniszczyła się.

Kolor aniołów.

Do tej pory uśmiecham się na myśl o tamtym wspomnieniu. W jej domu nie było nic niebieskiego. A kiedyś...

To było wiosną na jej urodzinach. Zabrała mnie wieczorem nad staw, tak ten staw, który nazywają Żabim Stawem, i tam widziałem ją po raz ostatni. Trzymała mnie mocno za rękę idąc między drzewami. Mówiła coś o aniołach, skarpetkach i aniołach. Więcej o aniołach.

Była szczęśliwa, ale nie wiem czy to wypływało z jej duszy czy było alkoholowym odurzeniem. Wybuchiała gromko odsłaniając białe zęby i znów wracała do aniołów.

Fakt – nie słuchałem jej. Czy wy słuchalibyście głupiej gadaniny o skrzydlatych istotach latających na górze? W kółko miedlonego tematu?

Szedłem prowadzony przez kobietę szaloną albo pijaną. Zresztą sam też nie byłem w pełni władz umysłowych, (choć na nogach nieźle się trzymałem). Więc w to, co było potem możecie wierzyć lub nie, wasza sprawa. Ja wierzę, ale ja widziałem. Cokolwiek to było – omam czy cud – zdarzyło się naprawdę.

Powietrze było lepkie i duszące, zanosilo się na burzę i solidny deszcz. Czułem jak jej palce coraz mocniej się poca i kleją z moimi. Cisza, przebijana jej głosem, była niepokojąca. W sumie gdyby nie mówiła nic, gdybym słyszał tylko ciszę mimo wieku zsikałbym się ze strachu. Ale ona gadała, gadała jak najęta. Przy stawie zamilkła. Otrząsnąłem się wtedy z letargu i pojąłem, że nic do mnie nie docierało przez blisko dwie godziny. Tyle szliśmy. Ubrana w sukienkę, niebieskie skarpetki i trampki wyglądała komicznie z nierówno spiętymi włosami oraz szarymi oczami.

– Więc to dlatego wszystko wygląda tak jak teraz i nic się nie zmienia – powiedziała, a ja pokiwałem głową, żeby była pewna, że słuchałem.

Odwróciła się uprzednio zdejmując buty i weszła do stawu.

– Blath wychodź – mówiłem, ale po kilku próbach język zaplątał mi się na dobre i zamilkłem. A ona stojąc w wodzie po pas uniosła ku mnie dłonie i spokojnie rzekła:

– Oni leżą tam razem. Wy nie widzicie. Ale dostrzeżecie, kiedy niebo zacznie się kruszyć i na głowę spadnie wam ciemność. Wówczas nasza pieśń spłynie na was, lecz nie wszystkich. Bo żyjąc za horyzontem jesteśmy oddzieleni od was nieskończenie daleko. A wy chcąc być z nami będziecie wbijać paznokcie w gwiazdy i trzymać mocno, by nie spaść z firmamentu nieba. Oni leżą tam razem. Czekaają. Tak długo czekają.

Wzniosła dłonie śpiewając w innym, nieznanym mi języku. A staw jaśniał, stawał się coraz bardziej niebieski jakby farbowany przez skarpetki. Usiadłem z wrażenia na spróchniałym i nasiąkniętym wodą konarze i wierzcie lub nie, zniknęła. Nie wiem, kiedy, jak i gdzie, ale mimo iż nie odrywałem wzroku, zniknęła. Nie było żadnej jasności, żadnego rozdarcia nieba czy ziemi. Po prostu. Tak jak stała. Rzuciłem się w mętny staw, ale jedyne, co

znalazłem to skarpetki. Niebieskie skarpetki oblepione glonami i błotem.

Wiem, że biegłem. Biegłem ile sił w nogach. Leciałem na łeb na szyję do domu. Przespałem dwa dni ze skarpetkami pod poduszką. Wytrząsnąłem oszczędności i z rezerwą poszedłem kupić skarpetki. Ale sklepiku nie było. Ani brzydkiej sprzedawczyni o łagodnym usposobieniu. Nie było, mówię wam, nie było. Nawet pod poduszką nie miałem niebieskich skarpetek tylko białe w zielone liście.

Śmieszne, co?

A rano widziałem na przystanku dziewczynę w niebieskich skarpetkach. I stojąc do mnie tyłem była bardzo podobna.

Monika Chytróś

„TRISMAGISTUS”

I co będziecie robić przez całą noc? – zapytała ze strachem, który chowała, by nie wyjść na przewrażliwioną – no, co?

– Oj mammo... Corbi przyniesie gry, a Milos kilka komiksów. A poza tym będziemy dwa kroki od domu Corbiego, co ja mówię, nawet na jego podwórku! Mammo proszę... – złożył ręce w błagalnym geście.

– Będę dzwonić. Może często. I nie waz się, choć raz nie odebrać.

– Dzięki.

Podskoczył z radości chwytając plecak. Na pożegnanie dał jej całusa i pomachał przeciągle. Uśmiechnęła się, a obawa zaczęła znikać. Kiedy zjawili się sąsiedzi, a na tylnym siedzeniu zobaczyła roześmiane twarze kolegów, lęk rozplynął się bezpowrotnie.

– Przywieziemy go jutro rano, Lila! Odpoczywaj ile możesz! – trzydziestoletnia kobieta w rozburzonych włosach koloru jesiennych liści puściła ku niej całusa – Trzymaj się!

Stary, granatowy jeep zawarczał, poczym ruszył przed siebie długą, czarną drogą. Zamknęła drzwi i pomyślała, że nie będzie odpoczywać. Po prostu zaśnie jak kamień i nawet koniec świata jej nie zbudzi.

Jechali przekrzykując się nawzajem.

– Najpierw zagramy w chińczyka! – wrzeszczał Corbi wymachując grą przed oczami – W chińczyka, chińczyka i chińczyka!

Był dobry w te klocki. Gruby, ośmioletni Corbi potrafił oszukiwać jak mało, kto. Co krok zajadał się czekoladowymi batonikami, a rodzice pozwalali mu na to tylko dlatego, że zawierały orzeszki dobrze wpływające na myślenie. Łudzili się, że pomogą mu na wrodzoną głupotę.

– Chcę usłyszeć ostatni numer „Bohaterów Czasu” – jęknął Fosco tłamsząc koszulkę – a potem zagramy.

Fosco – blondyn o niebieskim i szarym oku, które jednak nie różniły się tak bardzo, grzebał w plecaku szukając najnowszego numeru ponadczasowego komiksu, gdzie dobro zawsze wygry-

wało. Niepokonany Major Luck rozwał wrogów jedną ręką, a piękna Feline zawsze ratowała się z oparów w ostatniej chwili. Był typowym ośmiolatkiem, lecz czasem nad wyraz wulgarnym i złośliwym.

– A ty? – spytał po dłuższym czasie Corbi – Milos co chcesz?

Brązowe oczy uniosły się w górę jakby sprowadzone z długiej wędrówki po przestrzeni przyszłości. Otarł usta, chociaż nawet nie napił się wody. Nabrał powietrza, zamyslił się i wypuścił je powoli, cząstka po cząstce.

Nic. Jeżeli będziecie chcieli zobaczyć, co dla was mam, a jest to naprawdę rzecz fascynująca, zostawcie swoje wybory w spokoju i pozwolicie, abym to ja rozpoczął zabawę.

Ale co to? – dociekał Corbi.

– No właśnie, co?

– To rozrywka, która wykracza poza puste komiksy czy otumaniające gry. To tajemnica – powiedział ścisłym głosem.

Wytrzeszczyli oczy wydając jedynie niesłyszalne „wow”.

– Ale... – Ciii. Nic więcej – spojrzał znacząco na pasażerów jadących na przednich siedzeniach i przyłożył palec do ust, a potem zmrużył oczy odpływając w swój świat.

Milos - najdziwniejszy z całej trójki. O kręconych, czarnych włosach i żydowskiej urodzie jechał pogrążony w letargu. Nigdy nie mówił zbyt wiele, ale zawsze dostojnie i przemyślanie. Stary za młodu – tak określano go za plecami, ale on o tym wiedział. Nie lubił patrzeć na Corbiego, kiedy obżerał się batonikami, a gęsta czekolada oblepiała mu twarz, palce, koszulkę. Nie lubił słuchać piskliwego głosu Fosco gdy zaczynał się ekscytować albo bać. Wielu rzeczy nie znosił, ale zawsze ustępował, bo cenił wolność.

– Za dziesięć minut będziemy na miejscu – rzekł mężczyzna w okularach wrzucając do tyłu trzy soki w kartonikach – To na dobry początek.

I tylko Milos wzdrygnął się czując, że to nie będzie miły wieczór.

Galatea – niewielkie miasteczko niedaleko Tamerlon liczyło zaledwie stu mieszkańców. Piętrowy, czerwony domek rodziców Corbiego położony był na uboczu. Wokół rosło kilka drzew,

między którymi wznosiła się altanka przeznaczona dla dzieci. Nocą było tutaj cicho, a wielkomijski szum pryskał jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Skręcili w prawo mijając tabliczkę z wypisanym „Welcome” i zatrzymali się.

– No jesteśmy na miejscu.

Wyskoczyli z obu stron samochodu pędząc ku altanie. Jedyne Milos wysiadł spokojnie zamykając za sobą drzwi. Szedł pewien, że jeżeli uwierzyli to zaczekają. Siedzieli w środku i żaden plecak nie był otwarty.

I co? – Corbi drgnął pocierając ramiona – No?

Rozsunął powoli plecak próbując nieudolnie stworzyć atmosferę.

– Milos pospiesz się – burknął Fosco.

Odchrząknął wyciągając książkę oprawioną w zetlałą skórę. Unieśli brwi kryjąc uśmiech.

– To ma być tajemnica?

Obrażony usiadł naprzeciw nich, wygładził okładkę i otworzył na pierwszej stronie.

– Data: dwunasty września tysiąc dziewięćset dziewiętnaście.

– Starość – Moje imię – zaczął czytać z powagą – moje imię: Alice. Alice Grosso. Urodziłam się dziewiętnaście lat temu w Galatea. Ta książka jest zbiorem mojej przyjaźni – przerzucił kartkę na nowo wodząc palcem – Widzicie? – odwrócił ku nim wielki napis – To część Codex Daemonicus, tak zwany Ostatni Zakazany Wstęp.

– Co z tego?

– Powstały w tysiąc pięćset szesnastym.

– Dalej Milos. Zanudzasz.

Zakasał, wytarł dłonie o spodnie, a potem zaczął ponownie.

– Wsłuchajcie się, bo nie powtórzę tego więcej, jasne?

– Jasne, jasne.

– Wszelako jest jeszcze Inny, którego Imię nigdy nie bywa wymawiane, jest on bowiem Wyrzutkiem Wygnanym i z Nieba, i z Piekła, jednako potępionym pośród wyższych Bytów i na ziemskim padole. Jego Imię wykreślono z każdej Księgi i Tablicy, zasię jego Wizerunek zniszczono w każdym Miejsu, gdzie

Ludzie oddawali mu cześć. On jest Wyklęty i budzi najwyższy Strach, na jego bowiem Rozkaz zmarli powstają z grobów i Słońce samo gasi swój blask.

Zamilkli. Widzieli jak oczy mu rozbłysły, jak czytał z przejęciem kolejne słowa. Sumienie krzyczało, że powinni zakończyć jednakże pragnienie wyśmiania Milosa na samym końcu przewyciężyło strach.

– Co jest dalej?

– Dalej są zapiski jak z pamiętnika. Alice pisze o widzeniach sennych, kontaktach z Innym oraz własnym przeczuciu śmierci. Jest też kilka rysunków, chyba własnoręcznych, jeżeli miałbym obstawiać.

– Pokaż.

Pokazał im. Obliczenia, nieznane symbole, szkice figurek rzeźkomego dręczyciela.

– Zanoszą się na makabrę – pogardliwie szepnął Corbi – A to?

– To data Zmartwychwstania. Nie wiem tylko jak ją odczytać.

W rogu pustej kartki widniały cyfry – 17700211, a pod nimi niezgrabnie napisane słowo – Ressurection Messiah.

– A może tysiąc siedemset siedemdziesiąt, luty, jedenasty?

– Albo tysiąc siedemset siedemdziesiąt, listopad, drugi?

– Ale to znaczyłoby, że żyje. Powstał i wciąż jest.

Przełknęli ślinę. Kolejne kartki przeszły na drugą stronę.

– Nieśmiertelni pozostają nieśmiertelni, a smutek pochłonie nas w nocy.

Wertował następne strony.

– Chłopca, który mnie kocha. Widzę też chłopca z Krainy Cienia, a ten przyniesie smutek.

Przeklęta Tetragrammaton.

– Bełkot. Zwyczajny bełkot chorej psychicznie paniienki.

– Przestań. Nie słuchasz do końca.

– To dawaj.

Głaskał ostatnią, zgiętą w trójkąt kartkę, by otworzyć ją bardzo delikatnie. Przeczytał w myślach jedno słowo, które widniało na środku zapisane na czerwono.

– To krew? Czytaj.

– Pod warunkiem.

– Jakim?

– Wypowiem to słowo, ale wy musicie wypowiedzieć je po mnie. Najpierw Corbi potem Fosco. Spojrzeli po sobie znacząco i przytaknęli, a on wyszeptał podając Cortiemu książkę. Corbi głośniejszym głosem wymówił słowo, a Fosco niemalże krzyknął upuszczając książkę. Kartki same wertowały się tam i z powrotem. Wiatr zawył przeraźliwie, a kiedy ucichł rozległy się trzy ciche echa – trzykrotnie wypowiedziane słowo. Wszyscy, aż podskoczyli. Bezchmurna noc rozplynęła się w powtarzających się szeptach. Drzewa poruszały się w rytm dziecięcych oddechów, które z każdą chwilą stawały się szybsze.

Nagle powietrze wypełniło przeciągłe, drżące westchnienie. Rozejrzeli się rozszerzonymi od strachu oczyma, ale nie dostrzegli nic. Trzymali mocno kolana, serca dygotały im niespokojnie, a czoła zrosił pot. W ciemnościach wytężali zmysły czując czyjąś obecność. Siedzieli w napięciu kolejne pięć minut zakłęte w wieczność. A książka leżała naprzeciw każdego i nikt nie chciał jej dotknąć. Zaszleściła złowieszczo i spomiędzy stron wyłaniała się niewyraźnie twarz – twarz, której usta poruszały się monotonicznie wymawiając tajemnicze słowo. Po ścianach altany przetaczały się dziwne postaci skacząc niczym chochliki. Próbowali krzyczeć, ale płuca, jakby przywalone ogromnym ciężarem, wypuszczały jedynie powietrze i bolały przy każdej próbie głębszego oddechu.

Ponownie zobaczyli twarz i przez jedną chwilę, podczas gdy zniknęła, przeszył ich śmiertelny strach. Cienie zbliżyły się, a zimne palce objęły ich za gardła. W blasku księżyca ukazali się jeszcze na moment, a potem upadli na podłogę zapadając w sen. Czarny welon oplótł ich ciała i można było dostrzec rumieniec, który nie zbladł całkowicie. Nogi stawały się bardziej kruche, skóra na ich policzkach wysychała marszcząc się i zlepiając.

Nad ranem zestarzelili się na proch.

K.A. 230920

Monika Chytróś

„WSPOMNIENIE LATA”

Pamiętam jak mówiłeś, że krzywda nie powinna dotyczyć zmarłych.

Siedzieliśmy wtedy przy stole ściskając nekrolog babci; każdy miał po jednym egzemplarzu i nigdy nie wiedziałam dlaczego. Płakałeś i nigdy już nie widziałam jak płaczesz po raz drugi, ale był to piękny płacz. Czasem myślę, że mógłbyś płakać bez powodu.

Piliśmy mętną herbatę z poprzedniego dnia, przegryzałam wargę i patrzyłam jak wloką się godziny. Babcia była stara. Fakt, była chora i nawet lekarze twierdzili, że bez leczenia długo nie pożyje. Miała chore nogi i gdy ją odwiedzałam moczyła je w occie wierząc, że to jej pomoże. Później jadła cebulę i smażyła marchewkę, ale był to tylko jej wymysł.

Nie broniliśmy tego – lekarz twierdził, zresztą nieważne.

Babcia była, a teraz uśmiecha się z szarej kartki papieru.

Cóż z tego, że miała siedemdziesiąt osiem lat? Przecież niektórzy żyją więcej. Pamiętam jak mówiłeś, że o zmarłych należy mówić tylko dobrze.

Zerkałeś wtedy na ciotkę, która wypominała niesprawiedliwy testament, na wujka, który przytakiwał i na tkwiącego we własnym świecie i własnej zadumie dziadka. Oni stali w grupie, jak sępy, i co krok oskarżali coraz więcej osób.

Na końcu wypomnieli i mnie.

Wyszliśmy wtedy obrażeni i nikt nie zadzwonił z przeprosinami.

Dziadek umarł dwa tygodnie później, ale nikt się nie przejął.

Testament nie został zmieniony więc oblizali wargi i zmienili telefony.

Zostaliśmy sami.

Tylko dla siebie.

Właściwie tobie było to obojętne i mi również stawało się z każdym dniem bardziej przezroczyście.

Mógłbyś zawsze patrzeć na mnie spojrzeniem z siódmego listopada.

Czasem wyobrażam sobie twoją starczą twarz – pełną zmarszczek, a mimo to patrzącą nadal. Wtedy nawet kartka papieru, którą trzymałam w dłoniach byłaby tęczą.

Pamiętam jak milczałeś. Długo, przejmująco długo, i już spodziewałam się, że się nie odezwiesz.

Oddałeś mi kartkę odchodząc. Cichy zgrzyt i z każdej strony objęła mnie pustka.

Nie byłam na ciebie zła – wiedziałam, że musisz znaleźć właściwy czas.

Gdy wróciłeś widziałam w tobie to, po co poszedłeś.

Po raz niezliczony przytulileś mnie, a ja słuchałam melodii twoich płuc.

Wspominam czasem te oddechy będące ukojeniem i w jednej chwili zapominam ich brzmienia. Nie wybraliśmy żadnej metody bo twierdzili, że i tak nie dadzą rezultatów. Odnalazłam wtedy nekrolog babci i do dziś nie minął żal.

Babcia była stara i schorowana, ale powinna była umrzeć śmiercią naturalną, a nie leżeć w kawałkach, rozsypana po mieszkaniu, i tak czekać na przyjaciół w swoje ostatnie urodziny.

Dziadek był stary, pogrążony w żałobie, ale to nie tłumaczy ciężkiego zapachu i zamkniętych okien w dwa tygodnie po pogrzebie.

Potem w oczekiwaniu leżałeś obok mnie.

Patrzyliśmy jak dojrzewają kwiaty, jak ziemia pochłania ostatnie śniegi i w tamtej chwili po raz pierwszy pomyślałam o śmierci. Westchnęłam głęboko i było to ostatnie takie westchnienie. Później oddychałam płytko, ale nadal czułam twoje drgające płuca.

Pamiętam jak mówiłeś, że krzywda nie powinna dotykać zmarłych.

Wypomniałam ci to trzynastego kwietnia pytając o żywych.

A potem zostałeś sam.

Tylko dla siebie.

„Bezimienna”

To co zobaczyła nie dawało jej spokoju, usiadła na łóżku w ciemnym i zimnym pokoju jednocześnie uważając, żeby go nie obudzić. Wszystko to co się działo, nie miało dla niej najmniejszego sensu. Posiadała moc przewidywania, ale żeby przewidzieć, że zostanie z mężczyzną, który zaprzedał duszę diabłu w zamian za moc przywracania życia – nie przewidziała.

Dwóch rzeczy się bała. Nie, nie śmierci. Dla niej śmierć była zawsze ostatnim wyjściem i poświęceniem. Według niej strach przed śmiercią jest zbyteczny. Ona nie boi się śmierci, choć nie wie co będzie później, co się z nią stanie. Bała się dwóch przedmiotów, mianowicie: Gotyckiej, metalowej szkatuły i brożki w kształcie serca z czaszką po środku.

Nie była w stanie na nie patrzeć wiedząc, co może się stać z „osobnikiem”, który ją uaktywni. Było to proste, wystarczyło umieścić w zagłębieniu wieka szkatuły broszkę, która była kluczem do niej i jej wnętrza oraz otwierała bramy piekła, przed którymi stawałaś.

Usiadła na łóżku w samych bokserkach i w zapiętej na dwa guziki koszuli nocnej. Przeciągnęła się jak kot, po czym przecesała palcami włosy i chcąc wstać z niego podparła się ręką.

Poczuła jak czarnowłosa mężczyzna łapie ją za nadgarstek przybliżając się do niej, po czym złapał ją w pasie.

– Gdzie idziesz? – wyszeptał do jej ucha beznamiętnym głosem.

– Przewietrzyć się – odrzekła cicho i stanowczo – nie martw się, wrócę – dodała ciepłym głosem, a mężczyzna puścił ją i nadal leżąc podparł się ręką.

Tamara wstała i zaczęła się ubierać, Black uważnie i z zaciekawieniem na twarzy patrzył jak ściąga koszulę i zakłada stanik, jak powoli ubiera czarne spodnie bojówki, a później białą koszulkę bokserkę. Założyła skarpetki, a później oparłszy się na komodzie ubrała glany. Skończywszy wiązać glany ubrała skórzaną, czarną ramoneskę i spojrzała na niego przygaszonym wzrokiem, po czym odwróciła się na pięcie i wyszła z pomieszczenia.

Nadal nie wiem, co tutaj robię... Myślała idąc po cichu przez ciemny korytarz, w którym majaczyły przebijające się przez szpary delikatne blaski księżyca.

Wszystko wydaje się być jak sen. NIE! Jak jakiś koszmar lub horror w stylu „Hellraiser”. Wyszła na zewnątrz wprost w blask księżyca, który tego tygodnia był w pełni. Przez ten cały czas powstrzymywałam się od otworzenia szkatuły, bałam się jej dotykać... przez cały czas uciekałam przed nim... a teraz? Od trzech dni budzę się przy nim... choć pierwsza noc była przymusem... nie, nie mówię o seksie... tego nie było, ale sama perspektywa przebywania z nim do tej pory mnie przeraża... trwam przy jego boku.

Boże ja się pytam: dlaczego? Nadal go nienawidzę, lecz momentami Kocham... czy można kochać i nienawidzić jednocześnie? Szła przez ciemny park, liście cicho szeleściły pod jej nogami, kruki szukały jedzenia lub latały w koło nawołując.

Czy można kochać człowieka, który zaprzedał duszę diabłu?
Czy to nie jest grzechem?

Boże widzisz a nie grzmisz! Co chcesz mi przez to pokazać?! Stała w miejscu wznosząc głowę ku niebu. Nie jestem zagrażoną chrześcijanką, ale już nie potrafię określić co się dzieje. Dlaczego ja? Po chwili usłyszała jak ktoś skrada się za jej plecami, szybko się odwróciła gotowa, aby zaatakować. Przed sobą ujrzała Black'a ubranego w ciemne spodnie, białą koszulkę i brudnobiałą płaszcz.

– Nie mogłem zasnąć bez ciebie – stwierdził przytulając ją do siebie.

– Boże widzisz a nie grzmisz – powiedziała cicho tonąc w jego ciepłym objęciu.

– Bóg zbawi skruszonych przed Jego obliczem – powiedział do jej ucha, wiedząc co od pewnego czasu dzieje się w jej sercu, umyśle i duszy. – Ty jesteś bezpieczna, ja niestety zaprzedałem duszę samemu diabłu – dodał tak beznamiętnym głosem, że po plecach Tamary przeszły ciarki. Black zdążył się pogodzić z faktem, że wkrótce utraci wszystko to co pokochał.

– Chcę otworzyć szkatułę – powiedziała przerywając ciszę. Jej wypowiedź była jak uderzenie gromu z jasnego nieba wprost w jego serce i umysł.

Ścisnął ją jeszcze mocniej, mówiąc:

– Pod żadnym pozorem jej nie otwieraj! – jego głos był ostry i karcący. Otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia, poczuła jak jego serce zaczyna szybciej bić. – Wiesz, jak nas wszystkich ocalić, wiem że to zrobisz, ale nie kosztem oddania mu duszy, nie popełniaj tego samego błędu... – Nagle ciszę nocy przerwały przeraźliwe krzyki, a rozjaśniły ją dosłownie piekielne płomienie wydobywające się szerokimi jęzorami z budynku.

Obydwoje spojrzeli na sytuację z przerażeniem w oczach.

– Co za idiota ją uaktywnił? – syknął, lecz nie pociągnął dalej tej myśli, tylko spojrział Tamarze prosto w oczy, delikatnie łapiąc ją za podbródek. – Pamiętaj mnie... Pamiętaj, że zawsze należałaś do mnie... – wyszeptał dając jej sztylet zawinięty w grubą czerwoną tkaninę.

– Kocham cię – wyszeptała i gdy chciała coś dodać, on delikatnie pocałował ją w usta.

– Dziękujesz własnemu katu? – zaśmiał się ojciec diabłów pojawiając się tuż przed nimi.

Black puścił Tamarę, odpychając ją na bok.

– Skazany ma prawo do widzeń przed śmiercią – odrzekł stając oko w oko z diabłem.

– Brawo, znasz swoje prawa – zaśmiał się. – Ale już czas. Na nią też – dodał cicho patrząc na jej postać. Black szybko odwrócił się w jej stronę krzycząc:

– Nie oddaj mu duszy! – Tamara rzuciła się pędem do ucieczki. Biegła kryjąc się w cieniach drzew.

– To długo nie potrwa, więc będę miał czas ją złapać – zaśmiał się pod nosem i wyciągnął rękę ku Black'owi, który momentalnie z krzykiem okrutnego bólu stanął w piekielnych płomieniach.

Tamara słysząc krzyk, obejrzała się za siebie stając w miejscu. Na widok płonącego ciała z jej przerażonych oczu popłynęły łzy. Zaczęła biec dalej, nadal trzymając zawinięty sztylet.

Kruki podążały za nią, co jakiś czas tworząc czarną chmurę nad jej postacią, jakby chciały ją ukryć, przed jego okiem.

Nagle na jej drodze pojawił się ten sam mężczyzna, łapiąc ją za gardło rzucił nią o drzewo. Nie straciła przytomności, lecz pomimo otwartych oczu, widziała ciemność. Po chwili ujrzała miejsce, w którym się znajdowała i ojca diabłów stojącego przed nią. Podniosła się z ziemi i zrobiła kilka chwiejnych kroków w stronę mężczyzny. Na jej ramieniu zasiadł kruk, jakby był jej strażnikiem.

– Zrzekam się swojego imienia, bez niego ono nie istnieje. Jestem Bezimienna – wyszeptała w języku Celtów.

Moja dusza należy do Ciebie. Pomyślała stając naprzeciwko mężczyzny.

– Dobra decyzja – stwierdził z zadowoleniem odgadując jej myśli.

Bezimienna chwyciła oburącz zawinięty sztylet, po czym prawą ręką odwinęła tkaninę i ujęła prawą dłoń za jego rękojeść, upuściła materiał na liście.

– Zła interpretacja! – krzyknęła łapiąc oburącz rękojeść i unosząc sztylet nad głowę – To pieprzona autodestrukcja! – zaśmiała się i wbiła nóż w swoje ciało przebijając serce, a kruk wzbił się w górę z przeraźliwym krzykiem.

Puściła rękojeść rozkładając na boki ręce i łącząc nogi, z lekkim uśmiechem na twarzy osunęła się w suche liście słysząc krzyk diabła i krzyki kruków.

Mężczyzna ze złością spojrział na martwe ciało układające się w znak krzyża, już sam symbol wzbudzał w nim wstręt. Po chwili poczuł jak jego ciało rozsadza ogromne ciśnienie, a ziemia zaczyna się trząść i rozstępować ujawniając jęzory ognia. Cała okolica wraz z parkiem stanęła w płomieniach. W górze kruki utworzyły symbol śmierci na tle księżyca. Tej nocy nikt z obecnych tu osób nie przeżył. Budynek spłonął.

Bezimienna osunęła się w sen wieczny, nadal wierząc w wybawienie i spotkania się dwóch kochających się dusz.

Jej ciało wśród płonących liści leży.

Znak krzyża ukazuje.

Jej śmierć dla zaprzędanych

koniec wędrówki zwiastuje.

W dłoni krwawą różę dzierży,

Od duszy kochanej.

Klaudyna Mach

„Gdy zawieje wiatr”

Spotkałem ją niedługo po przeprowadzce do nowego domu. Bawiła się z bezdomnymi kotami uśmiechając się lekko. Nie wiem, czy usłyszała kiedy podszedłem ani czy wiedziała, że stoję tuż za nią, lecz chwilę po tym gdy tylko przystanąłem, smutnym głosem wypranym z emocji powiedziała:

– Choć nie mają matki – przeżyły. Na ich nieszczęście darzą zaufaniem każdego obcego, bez wyjątku.

Nie wiedziałem, jak mam na to zareagować, bowiem dotąd nigdy nie interesowałem się losem bezdomnych zwierząt. Mimo swojej niewiedzy wydukałem:

– Nie sądzę, że jest to dla nich nieszczęściem, inaczej nie przyszły by do ciebie.

– Znają mnie, dlatego przychodzą, lecz ciebie też nie będą się bały, choć jesteś nieznajomy.

Zdziwiony jej pewnością w głosie mimowolnie przykucnąłem tuż obok niej i wystawiłem rękę ku jednemu z kociaków, zaś ten przywitał mnie, jakbym był jednym z nich, jakby znał mnie od zawsze. Jego sierść była niczym jedwab – miękka i delikatna. Gdy tylko dotknęła mojej skóry chciałem cofnąć rękę, lecz czyjaś dłoń mnie powstrzymała. Dłoń należała do niej, patrzyła wprost na mnie swoimi zielonymi oczami.

– Nie możesz. Gdy już raz się z nimi przywitasz i uznasz je za godne uwagi nie możesz okazać obrzydzenia. Skoro wcześniej był godny twego dotyku, to dlaczego teraz okazujesz tak negatywne emocje? Nie bądź fałszywy. – patrzyła na mnie z niespotykaną powagą a jej oczy błyszczały niczym dwa drogocenne kamienie.

– Mimo wszystko, czy koty same w sobie nie są fałszywe? – zapytałem, lecz ona nie patrzyła już na mnie, bawiła się z kotami.

– Zwierzęta uczą się uczyć od ludzi. Czują je za każdym razem, gdy tylko je dotykamy – głaszcząc futerko jednego ze zwierząt uśmiechała się, a w jej oczach można było zobaczyć czystą miłość.

W momencie, gdy wiatr porwał jej ciemne włosy do szalonego tańca, całkowicie zauroczyłem się jej urokiem i wdziękiem. Niestety nie dane było mi zamienić z nią jeszcze jakieś słowo – szybko wstała, szepcząc jakby do siebie „Już czas” i pobiegła drogą ku innym zabudowaniom, wyglądała jakby płynęła w złotych falach kłosów niesiona przez wiatr. W chwili, gdy odeszła koty straciły mną zainteresowanie – bawiły się źdźbłami traw, które poruszał wiatr. Chciałem jeszcze ją spotkać, porozmawiać i posłuchać jej zamysłonego głosu.

Spotkałem ją znowu następnego dnia, gdy wysłany do sklepu szedłem polną drogą. Była w tym samym miejscu, co wcześniej i znowu zajmowała się kotami. Tym razem obserwowała, jak te posilają się przyniesionym przez nią jedzeniem i znowu uśmiechała się lekko, jakby do siebie.

– Czy wiesz, dlaczego koty polują na myszy? – zapytała mnie znienacka, tak jak kiedyś nie patrząc na mnie.

– Taka ich natura?

– Nie. One po prostu wiedzą, że są potrzebne człowiekowi, dlatego je łapią – cicho zaśmiała się i nagle odwróciła się do mnie, dodając z najpiękniejszym uśmiechem, jaki widziałem. – Tutejsze koty są bardzo mądre i wyrozumiałe.

W tej chwili zrobiłem coś, czego nie przemyślałem, wykonałem ruch całkowicie bezmyślny:

– Czy może oprowadzisz mnie po miasteczku? – w moim głosie było więcej nadziei niż mógłbym się spodziewać.

– Oczywiście – odpowiedziała z ciepłym uśmiechem, choć głęboko, głęboko krył się w nim smutek. Był on niczym słaby płomień świecy na wietrze.

Jej oprowadzenie trwało kilka dni. Znała dokładnie każdy zaułek, każdą przydrożną kapliczkę oraz wszystkie bezdomne koty. Czasami, gdy opowiadała o różnych bóstwach i religii tutejszych ludzi, nie przerywając patrzyła w niebo i uśmiechała się jakby do siebie, lecz do nieba. Czasem wydawało się, jakby czytała wszystkie informacje z chmur i nieba. Mimo, że wiedziała dużo na różne aspekty życia tutaj, widoczną radość i przyjemność sprawiało jej opowiadanie o tutejszych kotach, czasem wspominała coś o innych zwierzętach.

Niedługo przed rozpoczęciem nowego miesiąca po prostu znikła. Nasza kilkudniowa znajomość prysła niczym mydlana bańka. Nawet jej koty, które wcześniej nie stroniły od ludzi zdziczały i na każdego reagują sykiem – nawet na mnie, choć systematycznie je dokarmiam. Jeszcze czasami, gdy stoję w miejscu, gdzie ją spotkałem czuję zapach jej włosów, gdy zawieje wiatr.

Zostawiła po sobie ciepłe uczucie tęsknoty i zrozumienia zarazem oraz zdziczałe już koty.

**„Bożek akwariowych stworów...
Czyli o swej wątpliwej boskości w czasie z gruntu
refleksyjnym...”**

„Uświadom to sobie, to Ty jesteś bogiem...” głosi paktofoniczny tekst, a pobożny 3miel kontruje „uświadom to sobie, że nie Ty jesteś bogiem...”

Nie myślcie sobie, że będę poruszał z okazji refleksyjnego święta teologiczne kwestie. To zbyt osobiste i indywidualne i nie mam sensu w nich grzebać. Nie ma sensu kupować kredensu krzyknie ktoś za Staszewskim Kazimierzem, no bo niby o co chodzi z tym uświadom to sobie...? No dobra, już wyjaśniam, a w zasadzie zadam pytanie sobie i całemu światu kim jestem dla mojego zwierzaka z akwarium? Każdy z Was, no prawie każdy, ma lub miał jakiegoś zwierzaka i każdy na pewno się zastanawiał choć raz kim lub czym dla niego jest. On, ten zwierzak wiadomo pupil, czasem wręcz członek rodziny, a czasem przekleństwo które ląduje w schronisku lub co gorsza na ulicy chyba, że jest niechcianą akwariową rybką wówczas spuszczenie wody w kiblu kończy wzajemne pożycie... Nie ważne, nie o okrutnikach a o miłośnikach dzisiaj mowa. W weekend postanowiłem zrobić jakieś zmiany w akwarium zamieszkiwanym przez Stanisława. Stasio jest aksolotem meksykańskim, który towarzyszy mi już piąty rok i to właśnie on zmusił mnie ostatnio do takiej refleksji i przez chwilę żyłem w przekonaniu że jestem BOGIEM!

Bogiem mego stwora!

Zadałem sobie pytanie, o którym już wcześniej wspomniałem, kim jestem dla niego, jeżeli oczywiście zachodzi w jego wnętrzu choćby szczątkowy proces myślowy, jak mnie odbiera i za kogo mnie uważa? Bo to że wie o moim istnieniu to pewne, reaguje w każdym bądź razie tak jakby wiedział. Być może jestem dla niego czymś dużym, kolorowym, dostarczającym mu żarcie do jego świata, a może istnieje jakaś więź? No dobra, zaraz powiem że mnie kocha

i świata poza mną nie widzi! Nie sądzę, bo więzi to coś tylko ludzkiego, to takie zboczenie od zwierzęcej natury gdyż przywiązywać się emocjonalnie do swego jedzenia lub konsumenta jest mocno nierozsądnym.

Zwierzak z akwarium daje bardziej do myślenia na ten temat niż taki pies. Pies żyje z nami w naszym kosmosie a koleżka w akwarium jest całkiem gdzie indziej, w innym świecie. Nieważne że to akwarium stoi w naszym pokoju, jednak jest zupełnie niezależnym, odizolowanym światem od naszej rzeczywistości. Nie wiem kim, czym jestem dla swego stwora, wiem jedno gdyby okazało się, że on posiada inteligencję i myśli logicznie, wówczas na pewno zadaje sobie to samo pytanie, kim ja jestem dla niego i co sobie o nim myślę. Zrobi się teologicznie kiedy powiem że zdaje się że my też jesteśmy w takich akwariach i coś, ktoś znad tego akwarium naszego też się nad tym zastanawia i chyba nas lubi, bo jak by nie lubił to już dawno by nas w kiblu spuścił. A może mnie się tylko to wszystko wydaje bo zamiast wspominać tych co odeszli w tym czasie rozmyślałam nad swym boskim znaczeniem dla płazów ogoniastych.

O tych bliskich którzy odeszli pamiętać się staram przez cały czas i wspominam ciepło chwile razem spędzone z nimi wszystkimi, od mych dziadków począwszy na Kurcie Cobainie i Jamesie Deannie czy innym Presleyu skończywszy, pamiętam! I nie zachodzę w głowę w jakim się teraz akwarium znajdują, bo to nieważne, ważne że mają stałą miejscówkę w mojej głowie, sercu czy jak się to tam nazywa....

Mimo tych jakże dorosłych przemyśleń nadal pozostaje wiecznym chłopcem (jak każdy facet zresztą), ale staram się być odpowiedzialnym i konsekwentnym nawet przy zabawie elektryczną kolejką... Wieczni chłopcy uczą się przez całe życie, a nauka przychodzi im z trudem...

„Z...a”

Część trzecia

Cóż taki już mój własny i osobisty urok-nieurok. Dla mnie w każdym bądź razie prawie bez znaczenia jest to, czy komuś podobam się bardzo, bardziej, mniej, mało lub w ogóle. Nie jestem stworzony do podobania się komukolwiek. Chociaż... Muszę to przemyśleć. Ta nie... ten nie... tamta nie... tamten nie... Jest! Bingo! Znalazłem kogoś dla kogo mogę zrobić wyjątek! Prawo o ochronie danych osobowych nie pozwala mi na to, by posłużyć się tutaj pełnymi personaliami tej jakże wyjątkowej osoby. Uchylę jednak nieco co nieco rąbka tajemnicy. The winner is... ... eeeR Deee!!! I po balu panno lalu. Co bardziej domyślni na pewno już wcześniej mogli przypuszczać lub nawet wiedzieć o kogo się rozchodzi. Mniej domyślni mają szansę osiąść tę wiedzę w tym momencie. To jest wasza chwila prawdy! Czas minął! Brawo dla wszystkich mniej, ale jednak domyślnych! Wszystkim pozostałym składam najserdeczniejsze wyrazy współczucia i ... szacunku. Gdyby wszyscy w jednakowym tempie czaili bazę byłoby naprawdę nudno. Lepiej niech już tak zostanie. Zniosę prawie wszystko, byleby tylko w moim własnym i osobistym królestwie aż nazbyt, do przesady i za mocno nie powiało nudą. Toż przecież taki powiew mógłby spowodować trwałe i nieodwracalne uszczerbki w moim własnym i osobistym zdrowiu psycho-fizycznym. Tak że stokrotne dzięki! Tego akurat nie pożądam! Nie, nie, nie i jeszcze raz po wsze czasy nie! I bez tego zdarza mi się niekiedy bywać bardzo, ale to bardzo trywialnym. Nie to, żebym jakoś specjalnie nad tym ubolewał. Co to, to nie. Myślę jednak, że czasami przydałoby mi się nieco co nieco więcej oglądy. Cóż być może kiedyś nad tym popracuję. Naturalnie jeśli się mnie zachce. Znaczący się chęci to może by mi i już nie zbyło, tyle że silnej woli mocnego postanowienia poprawy mogłoby mi jeszcze zbraknąć. O tak zapał prawie do wszystkiego to ja mam naprawdę przewspaniały, naprawdę

przeogromny i naprawdę... przesłomiany. A to, że wciąż i nadal jeszcze piszę wydaje mi się czymś nieprawdopodobnym, czymś niesamowitym i czymś niezwykłym. Toż to chyba najprawdziwszy z najprawdziwszych cudów! Gdyby ktoś kiedyś powiedział mi, iż będę zdolny do tego, by codziennie sterczeć nad zeszytem A5/80k Linia z długopisem marki „Długopis” w dłoni, niechybnie wyśmiałbym go w żywe oczy! A tu proszę. Taaaka niespodzianka. Sam sobą czuję się zaskoczony. A myślałem, że już nikt i nic nie będzie w stanie pozytywnie mnie zaskoczyć. No cóż myliłem się. Oby takie pomyłki zdarzały mi się jednak jak najczęściej. Jestem jak najbardziej za i jak najbardziej na tak. Szkoda tylko, iż nikt i nic nie potrafi zaskoczyć mnie in plus bardziej, aniżeli ja sam. Chwilowo przestałem w to wierzyć. Nie znaczy to jednak, iż nie pragnę, by stało się inaczej. Już sama myśl, że mogłoby się tak stać powoduje u mnie lekko radosne podrygiwania mojego własnego i osobistego jabłka Adama. Tak więc do dzieła! Daję wszystkim i wszystkiemu jeszcze jedną, przedostatnią szansę! Proszę mnie mile zaskoczyć! Za pozytywne rozpatrzenie mojej własnej i osobistej prośby z góry serdecznie dziękuję.

Z poważaniem: Roman Darecki.

A teraz nie pozostaje mi nic innego tylko i wyłącznie uzbroić się w cierpliwość i czekać, czekać, czekać i jeszcze raz czekać. Ostrzegam jednakże, iż w przypadku negatywnego rozpatrzenia mojej własnej i osobistej prośby, krzywdy sobie nie zrobię, a co najwyżej kolejny raz się zawiodę. W końcu to dla mnie nie pierwszyna, więc żadnej tragedii nie będzie. Ppphhiii. Poradzę sobie z tym jak zwykle. Toż mi problem.

Przywykłem już do tego, że nie zawsze wszystko musi iść po mojej własnej i osobistej myśli. Można, a wręcz i wność nawet trzeba się na to uodpornić. W przeciwnym, bowiem wypadku kuku na muniu na mur beton pewne jak nic. A wtedy to o ziazii naprawdę nie trudno. Cóż pozostaje tylko i wyłącznie kwestia dokonania wyboru. Nie chcę nikomu niczego sugerować, ale wydaje mi się, iż jeśli ktoś chce w miarę normalnie funkcjonować, to nie powinien mieć z tym absolutnie jakichkolwiek zad-

nych większych problemów. No, a nawet jeżeli, to i tak nic mnie do tego. Com wiedział, tom powiedział, a com nie wiedział, tom nie powiedział. Bla-bla bla-bla bla bla bla-bla bla-bla, ka-żdy u-czy się na wła-snych błę-dach. Do wszystkiego można dojść samemu metodą prób i błędów. A skoro błędzić jest rzeczą ludzką, to i wstydzic się tego nie trzeba. Ja w każdym bądź razie nic a nic się nie wstydzę i wciąż i nadal próbożuję. I choć niekiedy różnie bywa, to z czasem wszystko po mnie spływa. No dobra nie wszystko, a prawie wszystko. Nie ma co trzepiać się mnie o takie szczegóły! W końcu i tak może się okazać, iż to co piszę jest tylko i wyłącznie stekiem wierutnych kłamstw. Na waszym miejscu nie wierzyłbym ślepo każdemu mojemu własnemu i osobistemu słowu. Radziłbym natomiast wszystkim bez wyjątku traktować mnie i to co ze mnie z lekko-ciężkim przymrużeniem oka. Poznałem się na sobie, już na tyle dobrze, iż wiem, że o sobie nic nie wiem. Nie wiem na co mnie stać, a na co mnie nie stać. Nie wiem do czego jestem zdolny, a do czego jestem niezdolny. Nie wiem co zrobię, a czego nie zrobię. Quo vadis Romanie-Nie Romanie Darecki-Nie Darecki???

A skąd mnie maluczkiemu to wiedzieć?! To be or not to be. This is the question. I na wiele prostsze pytania nie znam odpowiedzi, a i zapewne znał nie będę. Cóż... Vitiis sine nemo nascitur i bez wad nie umiera. Śmiem nawet twierdzić, iż w tej kwestii wyjątków od reguły nie ma.

Tak się jednak szczęśliwie składa, że z tym to akurat można próbożyć. Nie należy zatem przesadnie przejmować się byle błahostkami zwłaszcza, jeżeli oprócz wad posiada się również i zalety. Hmmm... Ja to mam jednak szczęście. Prawie wszystko potrafię sobie wmówić i w związku z tym prawie niczym nie powinienem zanadto się zamartwiać. Yyyhm. Trele morele. Co z tego, że coś sobie wmówię, skoro i tak z czasem o tym zapomnę. No cóż zdarza mi się, iż pod wpływem chwili, pomimo wcześniejszych deklaracji nieprzejmowalności się nikim lub niczym, zazwyczaj jednak kimś lub czymś się przejmę. No i dobrze. Gdyby było inaczej byłbym jak miedź brzęcząca albo cymbał brzęmiący. I owszem nie da się zaprzeczyć, że więcej we mnie

pokładów miłości, aniżeli nienawiści. A że czasami mogę sprawiać inne wrażenie... W końcu nie wszyscy muszą mnie eksploatować. Ooo co to, to nie! Nie ma tak dobrze i tak dobrze nie będzie! Może i bywam nierzadko głupi, ale za to rzadko bywam naiwny! A przynajmniej nie w takim stopniu jak dawniej. Ple-ple-ple-ple-ple ple, Cze-goś na-u-czy-łem się. Dać komuś palec to będzie chciał rękę. Szasta prastu, szasta prastu nie mam rączek jedenastu, ale mam dwie nóżki małe do chodzenia doskonałe. No to se chodze może coś se wychodze. Tutaj coś zobaczę, tam coś usłyszę i jeśli się mnie zachce to wszystko opiszę. Oby tylko moje własne i osobiste nogi nie odmówiły mi posłuszeństwa, to zapewniam, iż jeszcze niejednokrotnie postaram się uraczyć was moją własną i osobistą filozofią próbożycia. Toteż mając na uwadze dobro ogółu, upraszam sobie u wszystkich zainteresowanych modlitwy o moje własne i osobiste zdrowie, bo na modlitwy o mój własny i osobisty rozum jest już za późno. Odnoszę, bowiem wrażenie, że i bez nich z każdym kolejnym dniem staję się coraz mądrzejszy. Bez żartów. Bywam naprawdę doskonałym obserwatorem i naprawdę świetnym słuchaczem. Wiem co mówię, bo pomimo upływającego czasu widzę i słyszę, iż wciąż i nadal potrafię wnikliwie patrzeć i uważnie słuchać. Co prawda wzroku i słuchu mi nie przybywa, wręcz i wność nawet ubywa no, ale można mieć oczy a nie widzieć, można mieć uszy a nie słyszeć. Nie zawsze wszystko widzi się oczami i nie zawsze wszystko słyszy się uszami. Szkoda tylko, iż nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę. No, cóż nie można wymagać od wszystkich nazbyt wiele. W końcu nie każdy musi zdawać sobie z tego sprawę. Jedni się z tym rodzą, inni bez tego umierają. Ot i meandra próbożycia. A zresztą mało obchodzi mnie to czy ktokolwiek zdaje sobie sprawę z czegokolwiek. Dokonywanie przeze mnie wiwisekcji duszy i umysłu kogokolwiek mogłoby, w jakikolwiek sposób na to nie spojrzeć, cokolwiek nieco co nieco mi zaszkodzić. Obawiam się bowiem, iż w ten sposób mógłbym wypatrzeć sobie swój własny, osobisty i jakże precudownej urody charakter. „Kto z kim przestaje, takim się staje”. A nuż pacjent-pacjentka okazałby się-okazałaby się imbecylem-imbe-

cyłką. Ryzyko jest zbyt wielkie, by je podejmować. Nooo, ale z drugiej strony... Nie, nie, przestań kombinować jak koń pod górę. Zbyt wiele masz do stracenia, a zbyt mało do zyskania. Proszę Cię miej na to baczenie, uwagę i wzgląd. Twój zawsze i wszędzie myślący i pamiętający o Tobie Przyjaciel Roman Darecki. PS: Wiem, że postąpisz tak jak postanowisz. Nikt i nic nie jest w stanie Cię od tego odwieść. Wiedz jednak o tym Drogi Przyjacielu, iż z całego Serca usznuję Twoją decyzję, jakakolwiek by ona i nie była.

Okay. Grunt to dojść do consensusu. Rozważyć wszystkie za, rozważyć wszystkie przeciw i zrobić wszystko po swojemu. Na mój własny i osobisty-nie mój własny i osobisty rozum tak jest najlepiej. Zawsze i wszędzie staram się postępować tak, jak sam uznaję za stosowne. Nie znaczy to, iż nie liczę się ze zdaniem innych. Liczę się, liczę. Co prawda coraz rzadziej i mniej, ale wciąż i nadal się liczę. W końcu powiedzmy sobie szczerze żadnym megamózgiem nie jestem. Zdaję sobie sprawę z tego, iż zawsze i wszędzie mogę się pomylić. Zawsze i wszędzie mam taką świadomość i wciąż i nadal się mylę. Cóż nic nie zaradzę, iż często i gęsto lubię postawić na swoim. Po prostu, te typy tak mają i... drobniaki zbierają!

A i otóż to. Wcześniej czy później musiała nastąpić ta chwila. Ten moment, w którym ponownie pogrosi się chociaż troszeczkę. No i... schyliłem się po... 10-groszóweczkę. Od razu poprawił mi się nastrój. Z miejsca stałem się jakiś taki bardziej niż zwykle do rany przyłoż. Spokojnie, spokojnie. Bez pośpiechu. Wszystkim i tak nie pomogę, a o poza tym czuję, że... już mi przeszło. Trochę rozsądku nie zaszkodzi. *Vulgus Amicitias Utilitate Probat*. No, ale dość tłumaczeń. Mówiłem już o tym niejednokrotnie i chyba nie mam zamiaru mówić o tym poraz kolejny. Cieszę się jednak z tego, że nie jestem w swoich własnych i osobistych sądach odosobniony i samotny. A to, iż nie powinny one budzić we mnie, ani odrobiny euforii to już naprawdę druga strona medalu. Tak się przedziwnie składa, że czasami sam dla siebie wydaje się sobie cokolwiek nieco co nieco przedziwny. Niekiedy odnoszę nawet wrażenie, iż nie koniecznie piątej, ale którejs

tam klepki brakuje mi na pewno. No, jest jeszcze jedna opcja, a mianowicie, że klepki mam wszystkie, ale za to nieźle poprzestawiane. W sumie to chyba i tak drobna różnica. Tak mi się przynajmniej wydaje. Zresztą czy jest tak, czy jest siak jednemu zaprzeczyć nie można. Są w moim własnym i osobistym próbożyciu takie chwile, w których zachowuję się jak najprawdziwszy z najprawdziwszy czubków! Cóż umarłemu się nie przydarzy. Nie ma w tym zatem niczego przesadnie zatrważającego. Rzecz jasna podarunkiem, iż się przydarzy i tak nie zostanie. W przeciwnym bowiem wypadku można mieć już naprawdę nieźle posprzątane i to do końca swojego własnego i osobistego próbożycia. No nie ukrywam, że nie jestem zainteresowany takim obrotem sprawy. Ba, powiem więcej, w ogóle nie jestem zainteresowany. Zresztą muszę przyznać, iż w bałaganie o wiele łatwiej jest mi się odnaleźć. A jeśli chodzi o porządek to bez obawy, sam potrafię się o niego zatroszczyć. I nikt nie musi niczego sprzątać zarówno we mnie, jak i dookoła mnie. Jeśli mi się zechce sam dam sobie z tym radę. Przynajmniej jak na razie nie potrzebuję pomocy. A to, iż czasami sprawiam wrażenie cokolwiek nieco co nieco zagubionego, to w końcu tylko i wyłącznie moja własna i osobista sprawa. Może po prostu chcę sprawiać takie wrażenie?! Może sprawianie wrażeń to mój własny i osobisty sposób na przetrwanie?! A może tak, a może nie?! Prawdę o sobie znam tylko i wyłącznie ja!!! Toteż nikomu poza mną dociec czy w moim własnym i osobistym przypadku, prawda jak zwykle leży po środku. prawdę powiedziawszy w tej materii sam nie jestem nazbyt-zbyt-zbyt dociekliwy. Uważam bowiem, iż to zbyteczna strata czasu. Prawda przeważnie i tak bywa względna. Podobnie zresztą jest bez reszty z wszystkim. Zaś się rozfilozofowałem. No cóż taka już moja własna i osobista natura, toteż niekiedy muszę!...? „Przepraszam przypadek, że nazywam go koniecznością. Przepraszam konieczność, jeśli jednak się mylę”. A jakież to ma znaczenie?...! Bez względu na przyczynę rozfilozofowałem się i tyle!!! No nieźle. Już ja potrafię podziałać na siebie jak płachta na byka. Nie może być jednak inaczej, skoro zawsze i wszędzie czy trzeba, czy nie trzeba doszukuję się dziu-

ry w całym i częstokroć ją znajduję. I muszę przyznać, iż stety-
niestety jestem w tym coraz lepszy.

Tiaaa. Ładna dzisiaj pogoda. Nie ciepło i nie zimno. Nie mo-
kro i nie sucho. Ot, w sam raz, by... domu nie opuszczać!!! Jest
bardziej nie ciepło, aniżeli mniej nie zimno. Jest bardziej nie su-
cho, aniżeli mniej nie mokro. A poza tym... dziura ozonowa wciąż
i nadal się powiększa! No tak, nie pozostaje nic innego tylko i wy-
łącznie położyć się w ciepłym i suchym i czekać na lekką śmierć!
Niech tam leje, niech tam wieje! Przepraszam bardzo, ale nie
wezmę udziału w tym zbiorowym leżakowaniu. No, cóż... „Gdy
wieje wiatr historii, ludziom jak pięknym ptakom rosną skrzy-
dła, natomiast trzęsą się portki pętałom”. Pozwólcie zatem, że
odfrunę! Taaak. Słowo się rzekło. Skoro powiedziało się już
o jak odfrunę, trzeba powiedzieć z jak żegnam. Nie pomyślcie
sobie jednak, że fakt, iż chcę się pożegnać jest li tylko i wyłącz-
nie jakimś kolejnym moim własnym i osobistym, zwykłym i ba-
nalnym Gigakaprysem. Nie, nie, nie i jeszcze raz po trzykroć
nie. Żaden to też przypadek i żadna to też konieczność. Ot, po
prostu zwykła i banalna Gigapremedytacja. Z ręką na swoim
własnym i osobistym sercu mogę się przyznać do tego, iż mo-
ment, w którym przyjdzie nam się rozstać, był mi wiadomy od
początku. Hmmm... Tak to miało wyglądać, tak to wygląda i tak
to wyglądać będzie. Tiaaa. Z góry zaplanowałem sobie, iż dzień,
w którym skończę swoje własne i osobiste D+ lat będzie ostat-
nim dniem naszego ze sobą współobcowania. Cóż... „Jednostron-
na znajomość między mną a wami rozwija się nie najgorzej”...
Dlatego też, mając na baczeniu, uwadze i względzie uroczystość,
niepowtarzalność i doniosłość chwili daruję wam i sobie prezent
w postaci pożegnania. Fakt rozstać się trudno. Zwłaszcza jeśli
ma się świadomość tego, że można by długo i jeszcze... A cho-
ciażby i o tej dzisiejszej zgubionej przez kogoś, a znalezionej
przeze mnie 5-groszówce, w dodatku jeszcze z orzełkiem na
wierzchu. No cóż... Być może to dobra wróżba na przyszłość.
Być może kiedyś jeszcze się spotkamy. Być może jeśli i nawet to
i tak będzie to zupełnie inna... B A J K A.

Wciąż i nadal Roman Darecki
Wciąż i nadal miasto, w którym
do niedawna mieścił się
Urząd Wojewódzki
Wciąż i nadal A++D r.

RECENZJE

„Ja kocham lata ciepły dzień...”

Ewa Ogorzelec ma dar poezjowania uwidaczniający się w opisach przyrody. Wrażliwym okiem patrzy na świat roślinny i zwierzęcy. Żyje rytmem pór roku i utrwała metamorfozy dostrzeżone na polach, nad brzegiem rzeki czy w lesie. Flora i fauna okolic Pleśnej i Rzuchowej, gdzie mieszka znajduje w jej osobie wnikliwego obserwatora. Odnajdziemy w tych strofach i klekoczące bociany i bobra myjącego swoje futro nad wodą, (w wierszu pt. „Wiosna”), i pohukującą sowę i wzlatującego nietoperza (w wierszu pt. „W maju”), i kwitnące narcyze, fiołki i krokusy, pyłki kwiatów jabłoni (w wierszu pt. „Wiosenny pejzaż”), a także występujące w samym tytule „Słoneczniki”.

W utworze pt. „Żegnaj lato” pisze także o swoich odczuciach i wyznaje **„...Ja kocham lata ciepły dzień / I każdy jasny promień słońca...”**. Brzmi to jak manifest programowy i uzasadnienie dla twórczego trudu rymopisania. Wyróżniony tekst zawiera piękny obraz „Pola pełne dojrzałych zbóż / Zmieniają się w ścierisk szeregi / I mgła gasnącego już dnia / Miesza się z ognisk pogrzebem...”. Ten schyłkowy czas, widok opustoszałych pól, mroczniejszego wieczoru, wywołują żal i melancholię.

W wierszu pt. „Zorzy blask” otrzymujemy projekcje: spersonifikowanej Przyrody, zaciskającej w dłoni krople porannej rosy, niby cenne brylanty, słońca płynącego po nieba błękicie jak po morzu i promieni wyglądających o świcie i oglądających z zachwytem stawy spowite welonem mgły.

Zupełnie inne są teksty dotyczące problemów współczesnego świata, będące wspomnieniem minionej wojny. Utwór pt. „XX wiek” wylicza jak egipskie plagi, nękające nas bolączki: ogniska wojenne, ścieranie się państw o odmiennych ustrojach politycznych, ich rezultatem krwawy konflikt w byłej Jugosławii, przemoc, głód i bezrobocie. Autorka wierzy, że jej postawa może mieć wpływ na tak smutną rzeczywistość. Rzuca wezwanie za wezwaniem, jak magiczne zaklęcia:

„...I niech wolność i pokój zwycięży
Niech zwycięży prawda i miłość
Niech nie płaczą matki jugosłowiańskie,
Których życie – sens już straciło
Niechaj będzie dla świata przestrogą
Widmo dzieci kalekich, ich jęk
Raz odrzućmy na zawsze wrogość
W życiu bierzmy to co ma głębszy sens.”.

Podobnie we „Wspomnieniach wierzby”, gdzieś w dolinie widzącej i pamiętającej okrucieństwa niemieckiego okupanta, Ewa Ogorzelec w formie lamentacji pisze „...Co ty wierzbo / Taka smutna / Powiedz – coś widziała...”. I wierzba Jej odpowiada. „...Na mych oczach / Drogi synu / Do Polaków strzelano / A do rzeki / małych dzieci / Ciała powrzucono...”. Baśniowość i stylizacja tekstu czynią z niego, jakgdyby niezwykle ważne przesłanie. Odpowiadające pradawnym klechdom i mitom. Dlatego „...W pamięci / Się nie zatrą / Tamtych dni obrazy...”.

Także nawiązujący do I wojny światowej, tekst pt. „Poległym w Łowczówku”, odwołuje się do pamięci zbiorowej, będącej wartością lokalnej społeczności. Warto zacytować:

„Wśród lasów Łowczówka
Na jednej polanie
Jest cmentarz żołnierski
Wiedzą Łowczowianie...”.

Tutejsi ludzie wiedzą i rokrocznie czczą pamięć historycznych wydarzeń. Składają wieńce, a wojsko oddaje salwę honorową. Formą upamiętnienia bohaterskich legionistów walczących o naszą niepodległość staje się także twórczość córki tej ziemi, autorki niniejszych wierszy.

„Propozycje Wacława Hajdugi”

Propozycje Wacława Hajdugi to dojrzałe i mogące podobać się każdemu wiersze i opowiadania. Ich szczególnym wyróżnikiem jest przyjęta konwencja zapisu w postaci wypowiedzi nierymowanej. Tak powszechny i modny obecnie „wiersz biały” rządzi się jednakże tak samo całym „arsenałem reguł” i zasad, choć niekiedy tak niesprecyzowanych jak wrażliwość przy delimitacji wersowej. To, jak napisałby Zbigniew Herbert „kwestia smaku”. I ten dobrze pojęty rodzaj smaku Wacław Hajduga przejawia w stopniu bardziej niż odpowiednim. Ten sam fakt stawia go w sytuacji uprzywilejowanej. Jest poetą! To niemało wobec zalewu pseudo literackiej grafomanii.

Wiersz pt. „Nowa Wieża Babel”, w wymowie apokaliptyczny, bo „...Tylko patrzeć / Kiedy wreszcie Bóg / Znowu pomiesza języki.” ocenia od początku do końca nienazwanych antagonistów. To oni „Powiedzieli sobie...”, „Będziemy decydować o wszystkim...”, „...Wymyślimy / Nowe dzieło stworzenia / Bez obrazu i podobieństwa...”, „...Wywiedziemy narody / I oddamy im Raj utracony...”. Mający zostać nowymi panami świata (piszę o nich zgodnie z szyderczą intencją autora, małą literą) nie są wolni od boskich schematów. Dlatego potrzebne im są „Inne Kamienne Tablice”, nowe prawo, że „...nikomu nie wolno / Nie przyjąć /... (ich, – przyp. aut.) szczęścia...”.

I już wiadomo, jak to się musi skończyć! Rośnie „Nowa Wieża Babel”.

W „Wigilii pod Łowczówkiem 1914” słyszymy głos brzoź i buków, wiernych świadków historii. Wspominają one czas honoru i czas cierpienia, przede wszystkim jednak czas nadziei. To wówczas

„...młode serca
Frontem rozdarte
Zszywała
Nić kolędy...”.

W przepiękny sposób ponownie ożywa motyw z wiersza Edwarda Słońskiego pt. „Ta, co nie zginęła”. Warto przypomnieć, bo dzisiaj nie wszyscy kojarzą twórczość żołnierzy legionistów:

„Rozdzielił nas, mój bracie,
zły los i trzyma straż –
w dwóch wrogich sobie szanćcach
patrzymy śmierci w twarz.

W okopach pełnych jęku,
wysłuchani w armat huk,
stoimy na wprost siebie –
ja – wróg twój, ty – mój wróg!...”.

Literacki opis miał swój autentyczny odpowiednik na linii frontu nad rzeką Białą w rejonie Łowczówka! „Nić kołedy”, jak to ujmuje Hajduga, doprowadziła w czasie „zawieszenia broni” do rozpoznania się dwóch rodzonych braci po obu stronach wrogich okopów. Nie sposób wyrazić zachwytu nad delikatnością wyrażenia, kiedy to

„...noc /
...kładzie na ziemię
Opłatek
A ziemia go łamie
I wszystkim podaje...”.

Dodajmy dla pełnego kontekstu „...podaje / (bo, – przyp. aut.)
Żywym chce życzyć / By dali jej / Wolność / Martwych przyjmuje / Bo za nią zginęli.”.

Wszystkie wiersze i te bez tytułów, jak *** „Kartki książek...”, które „...Są jak skrzydła / Wędrownych ptaków...”, i *** „Wieczór...” wyrastający z żywej codzienności kamieni, stanowiących budulec naszych domów, i *** „Spotkanie...” „...zbudowane z obecności / Ciałem / Duchem / Myślą / Słowem...” pozwalające na współodczuwanie – są po mistrzowsku skonstruowane. Taka konstrukcja możliwa jest tylko przy świadomym korzystaniu z tak cennego materiału jakim jest słowo.

Zbigniew Leszczyc Mirosławski,

„Wiersze Kazimierza Olszewskiego”

Wiersze Kazimierza Olszewskiego można by zatytułować „Każdy tam mocny, gdzie jego korzenie” albo lepiej „Miejsce, gdzie istniał dom rodzinny”. To cytaty z jego tekstów, pierwszego pt. „One pamiętają”, drugiego pt. „Czas westchnień”. Wszystkie te wiersze, niekiedy dłuższe jak poematy, niekiedy krótsze, dotyczą spraw codziennych, jego „małej ojczyzny”. Czasem wznoszą się do wydarzeń ogólnokrajowych, jak w wierszu otwierającym zbiór pt. „Zajęte miejsce”. Ów tytuł jest też charakterystyczny. Autor potrafi mówić o sprawach ważnych zwykłym głosem. Dlatego jest reprezentatywny dla społeczności, w której imieniu się wypowiada. Owo zajęte miejsce, to miejsce „w sercach Polaków”, Miejsce przeznaczone dla śp. papieża, Jana Pawła II. Oddane zostały w tych strofach elementy szczególne, jak choćby skromna nieśmiałość z początków pontyfikatu, powszechna radość „ludu bożego”, дума „z własnego papieża”. Jest też refleksja o następcy, Benedykcie XVI.

„Ten świat choć powoli, to jednak się zmienia,
Tak teraz nadeszła pora przebaczenia...”

Tak jest też w utworze pt. „Smoleńska tragedia”, kiedy postawione zostają proste pytania.

„Wciąż najważniejszych dziś odpowiedzi brakuje nam:
Dlaczego Oni?, Dlaczego teraz, Dlaczego tam?”

W kolejnych wierszach pisanych z intencją i przeznaczeniem dla młodego czytelnika, vide „Ja jednak kochani, swe własne mam zdanie...”, to cytat z utworu pt. „Polskie godło” albo „Wśród ludu dość dużo dziś widać młodzieży, / To dobrze, bo przyszłość, to od niej zależy...” widać też tłumaczenie, jak dla całkiem małych dzieci „Gdy kogoś kochamy, kto żył tu przed laty, / to w dowód wdzięczności składamy mu kwiaty...”

Doświadczenie i życiowa mądrość przemawiają do nas, kiedy czytamy „...Mimo, że mamy piękne wspomnienia / Z każdym dniem smutniej na duszy / Już nie usłyszysz słowika pienia / Ni Cie kukułka nie wzruszy...”. To cytat z tekstu pt. „Jest taki

czas”. Pozytywnym aspektem tego poezjowania jest humor, jak w „Grunt to handel” czy w „Blaskach i cieniach dziadowania”. Przytoczmy:

„A może i wina jest po stronie dziadka,
Gdy w swojej starości babcię zaniedbuje.
Ona pełna werwy, wciąż jak nastolatka,
A on, o ironio, coraz mniej figluje.”.

Charakter fraszki mają wiersze „8 marca – dziwna data” porównujący kobiety i... koty.

„Bo kot i kobieta – dwie różne istoty,
A jednak uwielbiają ciepło i pieszczoty...”

oraz „Emerytura”.

„Za te najlepsze sterane lata,
Rząd nas utrzymać nie daje rady,
Emerytura – przejście na dziady.”

Wiele jest też w tej twórczości odwołań do wiary. Wiele jest wierszy-modlitw, jak zatytułowany „Chleba naszego powszedniego” w którym odnajdziemy słowa „...Tutaj jednak wiedzieć trzeba / Że gdyby nie pomoc z nieba / Opieka Tuchowskiej Pani, / Która czuwa wciąż nad nami / Nie wystarczy ranna gleba, / Bo prócz pracy, modłów trzeba...”.

Twórczość wyrastająca z umiłowania swojskiego pejzażu i wartości najważniejszych dla społeczności sąsiedzkiej stawia Kazimierza Olszewskiego w szeregu autorów opiewających te miejsca, w których mieszkamy, z których pochodzimy. Warto przytoczyć na koniec: „Bo mojej młodości świadkami są sosny / To one wraz ze mną, przez pewien czas rosły. / Choć wiedzą tak wiele, to milczą tajemnie. / Wciąż stałe w uczuciach, bo nigdzie nie poszły, / Bo one naprawdę kochają tą ziemię...”. Kocha też całym sercem i szczerze pan Kazimierz, którego dzięki wierszom pełniej możemy zobaczyć i poznać.

Zbigniew Leszczyc Mirosławski

„Maria Wajda, autorka z Pleśnej”

Wiersze Marii Wajdy wypływają z potrzeby serca. Dzieje się tak zawsze, kiedy chcemy przekazać swoją wiedzę i swoje doświadczenia młodszemu pokoleniom, własnym wnukom i całkiem obcym dzieciom i młodzieży. To tłumaczy dlaczego wiele w tych tekstach przestróg i pouczeń. Większość tej poezji dotyczy wartości wiary. W utworze pt. „Moja pielgrzymka” czytamy: „...Biorę bagaż spraw / Ruszam... / Z wiarą i nadzieją / Do celu. / Przy mnie brat, siostra / syn, wnuczka / Bóg w naszych sercach / I duch wiary...”. A w finale „...Warto iść / Dla szczęśliwej chwili / W której / Raduje się serce / Raduje się dusza...”. W innym pt. „Marzę o niebie” warto zwrócić uwagę na „dobrego Boga”, mieszkającego tak samo jak my we własnym domu, u siebie czyli...w niebie. Dlatego ten Bóg, proszony jest całkiem zwyczajnie „...daj mi czas...”, bo przecież wiadomo, że jak sąsiad kiedyś... zapuka do drzwi.

Podobnie w wierszu pt. „Mówię dobranoc”, kiedy dzień się kończy, narratorka przypomina „...ukłęknać wypada, / z Bogiem porozmawiać...”. Ma to być rozmowa tak oczywista, jak mężem, dziećmi czy wnukami, jak pożegnanie się z najbliższym otoczeniem, nawet z oknami i ze ścianami, ze szklanym ekranem. Ten osobisty świat posiada walor cudownej baśni, dlatego w zakończeniu zjawiają się niczym elfy, „anielskie duszki”.

W wersji odpersonalizowanej, ta sama nauka brzmi w tekstach, pierwszym pt. „Miał czas”. Jego bohater „Miał czas, odwlekał / miał ważne sprawy...”, a Chrystus czeka. Tutaj jednak Bóg jest znacznie bardziej odległy od człowieka, czeka i „...czas daje, na opamiętanie” i drugim pt. „Nie rozumie”. Anonimowy apostata nie rozumie, że Bóg jest miłością, odpoczynkiem, naszym Ojcem.

Jeszcze inaczej możemy spotkać się z Bogiem intymnie, konfesyjnie wręcz. Tak jest, kiedy czytamy wiersz pt. „Chwalę Ciebie Boże”, „Wielki Boże, / który znasz bieg gwiazd / tam w górze / i tajemnice naszych serc / tu na dole...”. To On daje: „...Radość / Spokój / Zbawienie...” albo w wierszu pt. „Nie wszystko przemi-

nie” będącym powtarzającymi się anaforami. Wszystko przemienie, i wiosna, i lato, i jesień, i zima, tydzień, dzień, noc i rok, młodość i radość ale, żeby dłużej nie wymieniać, pozostają wartości nieprzemijające: wiara, nadzieja, miłość Boża i wieczność.

Inne utwory, dotyczące codzienności adresowane są również do dzieci. „Marzenia o wiosnie” wyliczają jej symptomy: „...Kiedy słońce jasne / ukaże oblicze, / przylecą ptaszęta, / zakwitną zawilce...”. A dalej „...Ucieszą się dzieci,/gdy bociek przyleci...”.

Podobnie jest w tekstach pt. „Cudownie jest w ogrodzie”, „Jakie to piękne”, kiedy „...tęcza z rzeki wodę pije. / W dolinie rzeka płynie./ Szumi – gładząc kamienie...”.

Wiersze wspomnieniowe, wyodrębnione w cyklu zatytułowanym „Z młodości” to między innymi „W rodzinnym domu”. Rodzice

„...Zosiu i Janku,
mówili do siebie.

Teraz są razem,
na uczcie w niebie.”.

Ta miłość, raz rodzicielska będąca drogowskazem, jak iść przez życie, w innej wersji pojawia się jako miłość „Dla zakochanych”. Tutaj księżyc staje się i wyrocznią, jak gdy czytamy „...Spróbujmy odczytać z gwiazd, / co księżyc nam dziś da...”, i opiekunem, bo „...do snu utuli nas...”.

Dawkę satyry otrzymujemy w tekście wspomnieniowym z pobytu we Frankfurcie, pt. „Plaża nudystów”. „Z tamtej strony Menu,/ jest tam taka plaża,/kto na nią wejdzie,/każdy się obnaża.../ Oj dana, oj dana,/ śpiewam sobie z rana,/ pójdę też na plażę,/ odsłonię kolana...”. I w kolejnym pt. „Życie to nie fraszka”. Jego pointa pobudza do śmiechu:

„...życie to nie fraszka,
trzeba wybrać takiego ptaszka,
by ćwierkał o świcie,
a nie utrudniał życie.”.

Tak też sędzę należy czytać wiersze pani Marii, ku uciechu i własnej nauce.

„Piosenki Pauliny Biga”

Paulina Biga jest jeszcze bardzo młodą osobą. Jej świat, wyobrażenia i marzenia oscylują wokół tematyki miłosnej, rozstań i zaurczeń, przyjaźni i zachwytów nad pięknem róż, pejzażu, idei wolności. Sposób zapisu tych marzeń i wyobrażeń ma w sobie rytmikę piosenki. Sama autorka wyznaje, że wiele Jej tekstów powstawało z myślą o ich wykonaniu w takt określonej muzyki.

Ten rodzaj twórczości, z zamiarem pisania pod rytmikę melodii, narzuca zupełnie inne reguły, niż w poezji, przeznaczonej do cichej kontemplacji lub artystycznej recytacji. Dlatego na przyszłość ważnym jest, aby sama Paulina podjęła decyzję, które utwory traktować literacko, a które „tekściarsko”. Jest również droga pośrednia. Poezja śpiewana, teksty ambitne i warsztatowo doskonałe. To droga dla najlepszych. To wymaga mistrzostwa.

Przyjmując optykę współgrania słów i nut możemy „odpuścić” wiele zasad ważnych przy analizie krytycznej stosowanej w przypadku „mowy wiązanej”. Oczywiście wartości rytm i swoista melodyjność wierszy to podstawowe zalety. Kiedy jednak zamykamy oczy na: powtórzenia, problem rodzajów rymów, sprawy szyku zdania, częstotliwość występowania zaimków, to jest kwestie konieczne dla tekstów metrycznych, śpiewanych na takty, synkopowanych, ocena kunsztu słowa nie ma sensu. Akcenty w obu rodzajach warstwy słownej rozkładają się całkowicie inaczej.

O czym zatem możemy rozmawiać czytając poniższe propozycje? Jeżeli przyjmiemy (a nie mamy innej możliwości), że część powtórzeń to refreny, że rymy w praktyce mają zastosowanie do tego, na ile dany tekst „da się” zaśpiewać, to skupić się musimy na całokształcie opisanych sytuacji. Ich dopasowaniu do znaków chromatycznych, półnut, ćwierćnut, ósemek. Na ogólnej wymowie.

W tekście pt. „Róże” natrafiamy na sformułowanie „...kolory już w niej (tak) nie płoną, / Stoi sztywna, sucha i krucha...”, opisywana róża usycha ale wrażliwość autorki nie pozwala na lekceważenie tego przemijania. Dla niej każdy kwiat jest ważny. Czytamy:

„...Każdą różę dotykiem pozdrawiam.
Nad każdej istnieniem się zastanawiam.
Każdą podziwiam i z każdą rozmawiam...
Bo każda jest mym przyjacielem...”.

Ten sposób podejścia nie tylko do róży ale całego otaczającego świata jest owocny, bo refleksja służy rozwojowi wewnętrznemu i pozwala na zatrzymanie się „oblędnym pędzie” współczesności.

Szczególny na pewno jest tekst pt. „To koniec!”. Napisany z werwą i tak stanowczy, że aż... śmieszny. Możemy sobie łatwo wyobrazić tę niewątpliwie zdenerwowaną do ostateczności osobkę, która wykrzykuje:

„Szkoda słów, wynoś się, nie chcę widzieć cię!
Znajdź swój kąt, odejdz stąd, nienawidzę cię!

....

Nie znasz mnie, nie znam cię.
Nie obchodzisz mnie!...”.

Ileż w tym pasji i autentycznej kobiecej furii! Musi się nam skojarzyć szekspirowskie „Poskromienie złościcy”!

W kolejnych tekstach odnajdziemy również piękne fragmenty, jak na przykład w utworze „Wolność” stwierdzenie;

„...Znaleźć początek tęczy, zostawić świat i uciec gdzieś...
Właśnie tego chcę...”.

W utworze „Jaka jest miłość”, odpowiedź:
jak (przyp. aut.) „...gorąca herbata w dwóch różnych lecz złączonych dłoniach...”.

Ciekawym dopełnieniem są „Złote myśli” Pauliny Bigi. Widoczny głęboki namysł i trafność konstatacji pokazują nadspodziewaną dojrzałość. Warto je zapamiętać. A może pod wpływem tej lektury, ktoś zacznie zapisywać własne prawdy?

Dariusz Romanowski

„Wewnętrznego światła wspólnota”, Zbigniewa Mirosławskiego

Przystąpieniu do recenzji kolejnego zbioru wierszy Zbigniewa Mirosławskiego towarzyszy nieodparta refleksja, że zadanie to spełnić mogę jedynie w ścisłej łączności z autorem, dzięki osobistym konsultacjom. Posiadam w tym zakresie pełny komfort, szcząc się Jego wieloletnią przyjaźnią. O wartości tej twórczości już pisałem. Powtarzać tego nie będę. Jeśli ktoś ciekawy, niechaj sięga po tomik pt. „Zastygłe pejzaże”, mam wrażenie dostępny nie tylko w tarnowskich bibliotekach. Jego recenzja ukazała się także w numerze 5 „Znaj”, ogólnopolskiego kwartalnika artystyczno-naukowego Stowarzyszenia Autorów Polskich.

Biorąc zatem przysłowiowego „byka za rogi”, będę się starał uchwycić ważne tropy tej poezji. Uwypuklając istotne myśli i metafory, pozwalające na kompleksowe odczytanie przesłania zawartego nie tylko w „Wewnętrznego Światła Wspólnocie”, także w poprzedzających ją książkach. Już wędrując w ślad za autorem po galeriach malarstwa, poznając komentarze literackie do twórczości: Abakanowicz, Beksińskiego, Hasióra czy Szajny, także artystów tej miary, co Picasso lub Salvadore Dali, podróżując do Wenecji, Wiednia czy Londynu – otrzymywaliśmy sporą dawkę erudycji. Rozległej wrażliwości obejmującej niewątpliwie sprawy świata tego z perspektywy zaangażowanego humanisty, występującego w obronie godności i sprawiedliwości dla każdego, pod każdą szerokością i długością geograficzną. Przypomnijmy sobie wiersze: „Koncert dla życia”, *** Życie całe naznaczone strachem..., „Jeden cytat sprzed lat”, będący dialogiem z Zagajewskim, „Spotkanie z profesorem Józefem Szajną” czy „Dialog” dedykowany Julianowi Kornhauserowi. To one w pełni uzasadniają powyższe stwierdzenia.

Tym kwestiom Mirosławski pozostaje nadal wierny, ale jego droga obecnie wiedzie nas jeszcze dalej. Sygnałem najistotniejszym jest tak jak to zresztą być powinno, sam tytuł obecnej po-

zycji – „Wewnętrznego Światła Wspólnota”. O czym chce nam autor zakomunikować? W jaki sposób chce do nas trafić? Jak wyobraża sobie nawiązanie wspólnotowej łączności? Poprzez komunie światlistą, poprzez życiodajne światło, duchowe zrozumienie i porozumienie. Telepatycznie wręcz, jeśli wierzyć w takie możliwości. Czy może się to rzeczywiście udać?

I tym razem inspirację stanowi twórczość artystów takiej miary, jak: Tadeusza Kantora, Feliksa Topolskiego, Adama Myjaka, Mieczysława Górowskiego, Leonarda Cohena, Oskara Niemajera. Jest też sporo odwołań do antyglobalistycznej filozofii: Noemi Klein, Noama Chomsky'ego, Marshalla Mc Luhan'a, egzystencjalizmu Jeana Paula Sartre'a, Simone de Beauvoir, współczesnych guru: Stephena Hawkinga, Hannah Arendt czy Jacques'a Derridy.

Gdybyśmy chcieli prześledzić indeks geograficzny opisywanych miejsc i indeks wymienianych, wspomnianych osób, jasno zobaczymy, że refleksja ma charakter globalny. Od Wadowic do „świata bez granic” jak szyderczo pisze o reklamach „Wrigley Orbit” czy „Coca Coli”. Tarnów to nie Stambuł czy Frankfurt, ale wnioski z wycieczek: do Pragi czeskiej, Berlina lub nade wszystko Wiednia są oczywiste. Wystarczy przeczytać teksty *** „Czy możemy zrozumieć...” i *** „Prater po skwarnym dniu...”. Musimy szukać tego, co nas łączy! Bieda i poniżenie emigrantów, „...głębokie ślady butów... człowieka ściganego”, jak bohater powieści pt. „Śnieg” tureckiego noblisty Orhana Pamuka, różnice religijne i społeczne mieszkańców Greenpoint'u czy Brooklyn'u, wyznawców uśmiechniętego Buddy, przemawiającego mocnym głosem Allacha czy cierpiącego „Syna Cieśli”, to nie powody do kulturowego ostracyzmu lub jakiegokolwiek innego wykluczenia.

A pojawiają się w tych poezjach: Platon, Campanella, Tomasz Morus, van Gogh, Lautrec, Verdi, Eichmann, Nyerere, Senghor, Gandhi, Mandela i Einstein! Z miast: Londyn i Paryż, Brasilia i Lwów, Archangielsk i Korazma, Biesłan i Santomato di Pistoia koło Florencji. Globalna wioska.

Przeczytajmy niniejszy zbiór, śledząc uważnie pojawiający się tu i tam wątek światła, pojawiające się problemy globalne i filozoficzne. Już na początku wracając z sentymentem do rodzinnych stron, inwałdzkich lasów i wadowickiej fary, poeta przygląda się: „łaskawości Stwórcy”, świetlistym rozbłyskom poranka, kroplom Skawy i powiewom, od lekkich zefirków po huragany. Życie rozpoczyna się od rozbłysków! Od światła! Także od wróżb takich jak ta, kiedy „Nad łóżeczkiem dziecka jaskółka przysiada.”. To motyw zaczerpnięty wprost z życia, a opisany przez matkę autora, Danutę Seile-Mirosławską. Również „zmagającą się ze słowem”, od dzieciństwa kształtującą jego słuch do rytmu i dźwięku ojczystej mowy.

W najnowszym tomiku w wielu wierszach pojawią się słowa: energia, czakram, promienie, promieniowanie. Jak choćby w tym rozpoczynającym się od słów „Pozytywna energia mnie rozpała...”. O czym w nim czytamy? O rozplómienu, rozpaleniu mocą słonecznych promieni.

Jak zwykle też otrzymujemy sporą dawkę wspomnień historii osobistej i narodowej. Szerzej szereg refleksji o świecie przełomu stuleci. W utworze bez tytułu z mottem „Podróż z Elą”, autor odwołuje się do „sytego czasu, sytej atmosfery” królewskiego grodu Krakowa! Bawi się słowami! Vide „...wagon zapełnia się podróżnymi / pod różnymi pretekstami wyruszającymi...”. Energia „...Tych, tylu bliskich...” rozplnęła się jak strumień światła, które „...na pewno jest...” choć „...zdaje się być nieobecne...”. Otrzymujemy deklarację-wyznanie. Nasi zmarli są dla poety nadal formą energii, „śpią” obok „Wielkich Polaków”. Ich moc promieniuje jak czakram wawelski. Przenikamy się. Istnieje świetlista wspólnota duchowa, tytułowe wewnętrzne światło ludzi ducha, zbiorowości plemiennej. Odczuwanej w czasie wy-cieczek: do Gniezna, Kruszwicy czy Trzemeszna (Nota bene wspólnie je odbywaliśmy). Najszerzej jednak obejmującej wszystkich ludzi! Wśród budzących owo wspólnotowe odczucie osób, szczególne miejsce przypada śp. Janinie Kani, niezapomnianej dyrektor tarnowskiej Miejskiej Biblioteki. Autor poświęca Jej wiersz zaczynający się „Tragarze słów / z bibliotek całego świata...”.

Stąd już oczywiste jest utożsamianie się także z wszystkimi innymi ludźmi. W tym szczególnie z pomordowanymi w Katyniu, Charkowie i w Miednoje. Członkami bliższej i dalszej rodziny Mirosławskiego, wszystkimi ofiarami stalinowskiej zbrodni ludobójstwa. Z tą „unicestwioną armią”. Oni nadal przemawiają do nas „zdławionym głosem, / szmerem z podziemi...”. Choć nie wszyscy pamiętamy tak jak ich dzieci, (bo jesteśmy już w większości kolejnym pokoleniem, pokoleniem wnuków), rysy twarzy, tych pogrzebanych na „nieludzkiej ziemi”. Generalnie chodzi przecież o naszych antenatów. Rysy twarzy się powtarzają. Mogą to być nawet nasze rysy. Odziedziczone, rysy nas wszystkich Polaków! Wszystkich ludzi, bo żadna nacja nie jest wolna od grozy terroru i prześladowań. Czy będzie to dotyczyć Żydów, Tutsich, Hutu, Kurdów lub Czeczenów.

Z kolei uwaga nasza skupia się na losie pisarza i malarza z Drohobycza, Bruno Schulza. Zastrzelonego przez gestapowca Gunthera w czasie okupacji. Z utworu wywieść można szczegółową analizę twórczości autora „Xięgi Bałwochwalczej”. Pretekstem tej opowieści jest wystawa zorganizowana w tarnowskiej Sali Lustrzanej w 2007 roku, poświęcona Schulzowi. Otwierana z udziałem Mai Komorowskiej. Szczególne jest w wierszu zestawienie Schulza i Goyi. Ostro antywojennie wypowiadającego się malarza i grafika hiszpańskiego z przełomu XVIII/XIX wieku.

W tekście z Polanicy zauważmy „jasne światło książki” poety Andrzeja Sulimy Suryna, „zawieszona koło baru”. Piszący o malarzkich wizjach: Cezanne’a, Mondrian’a, o samoświadomości cierpienia, musi być bliski twórcy „Czasu Bram” i „Niebieskiej Góry”. Obydwu łączy wrażliwość i poczucie bezsensu śmierci „przypadkowych ludzi / porozrywanych na strzępy / przez bomby terrorystów / w Londynie...” i ofiar chorób i wypadków.

Odrębne są sonety. *** „Jestem rozbitkiem na wyspie szczęśliwej...”, „Okruchy gniewu”, „Bezczas”, *** „Jesień szronem ścina zeschnięte trawy...”, *** „Białej Damy, śnieżnej białogłowy cień...”, *** „W oczach pokoleń...”, „Semper fidelis”, „Tęsknota za ziemią rodzinną”, „Łąka”. To teksty nostalgiczne, dedykowane, opisowo-refleksyjne. Ich urok polega na zachowaniu

klasycznych reguł rytmiczności, stroficzności. To przykłady słownej maestrii w starym stylu. Nie wszystkie zostały jeszcze opublikowane ale autor zamierza zebrać je w odrębnej pozycji.

Obok nich teksty: dla Eli, wiersze z podróży. Przykłady poezji codziennej, niosącej smutki i radości, dającej siłę i nadzieję wiary w to, że świat jest takim, jakim chcemy go zobaczyć!

Jeszcze inną grupę stanowią wiersze zaangażowane w polskie życie społeczno-polityczne pt. „Pielęgniarki”, „Stocznia szczecińska 2002 rok”, „Lunapark”. Autor nie może pozostać obojętnym na wydarzenia krajowe pomimo globalnej perspektywy. Dlatego już w wierszu *** „Koncert dla życia...” pisał „...dość już głodu w Polsce i w Afryce / i wszędzie na świecie...”.

Wreszcie kończąc wyjątkowo szybki i siłą rzeczy pobieżny przegląd zawartości zbioru, wypada zauważyć szczególnie piękne fragmenty, metafory i opisy, jak np.

„...Świadomość ścisłej łączności
ludzi, jak kropel deszczu
bębnących o parapet.
W energii wyzwolonej
wśród burzy gromozłotej...” – to stanowi dla poety „zasilenie”. Dalej czytamy:

„Czuję się zasilony,
jakbym odczuwał rezonans
pola magnetycznego,
ciepłego biopola od osób
budujących stan ducha;
promieniowania miłości
w długim ciągu pokoleń.”.

O tym właśnie chce nam mówić, o tym przypominać, tym odczuciem się dzielić! Dlatego pisze:

„nie mam siły wyliczać osobliwości Wiednia.
Inna prawda objawia się
namacalnie konkretnie.
Ludzie wymieszani ze sobą,
jak w tyglu czarnoksiężnika:
czarni, żółci, smagli, biali
i we wszystkich odcieniach zmęczenia

są jedną
uśmiechającą się do siebie rodziną!

– a w poincie innego wiersza pt. „No Logo” zauważmy:

„...Oikonomos naszego domu
to każdy prywatny połów
o granatowym zmierzchu
pod filozoficznym,
niebem Grecji.”

Refleksja dotyczy najprostszej zasady ekonomiczności, opłacalności. Przetłumaczmy to słowo z greki na język polski, żeby w pełni uwydatnić jego sens. „Każdy prywatny połów” to nie tylko dosłowne znaczenie tego słowa. Rozumiemy, że chodzi o każdy udany zakup, każdą celową inwestycję. O filozofię egzystencji, bo nie można wszystkiego przeliczyć na pieniądze. W wierszu pt. „Wyrzutek” przeczytamy:

„...dlatego uciekać muszę
od tych, których kocham,
do kochania wszystkich zagubionych
na dworcach całego świata,
do tych bez biletu,
na życie bezproblemowe...”.

I jeszcze fragment z kolejnego utworu:

„...Cały świat,
mały jak zielony owoc arbuza,
toczy się mi pod nogi.
Mam wrażenie,
że nasze porozumienie
oplata kulistość ziemi,
jak siatka kartograficzna
globus.”.

Otrzymaliśmy tomik manifest. Zbiór poezji mocno zaangażowanej. Opowiadającej się po stronie prostych ludzi, świadomości ich braterstwa i osobistego samorozwoju. Szczególnie ważnym w tym kontekście jest utwór pt. „Innerlichtkeit”, który jest w pewnym sensie niemieckim odpowiednikiem tytułowej „Wewnętrznego światła wspólnoty”.

Pointą niezwykle istotną są także słowa:

„...magia miejsca
przemawia do nas intuicyjnie,
to energia, którą wznieca niezwykle czakram;
Zrozumienie w oczach drugiego człowieka,
moc działania i świadomość idei...
...To nadzieja wyjścia naprzeciw,
rozwoju boskości w sobie,
światła, które
wieczne mroki rozświeca.”

i chcę przytoczyć również ważną deklarację poety, odczuwającego niemalże stany mistyczne:

„...jestem otwarty i gotowy
do współdziałania i zapisu
wiersza płynącego do mnie
z kosmosu ludzkich światów.

Światłość pomiędzy nami
rozkwita, jest blaskiem
świecącym w oczach,
głębią duchowego
porozumienia;
sensem życia,
istot powołanych.

Dorastamy do siebie,
dorastamy do «Nieba w Nas»,
do wewnętrznej kieszeni,
do prapoczątku wszelkiego
zaistnienia.

Komunikat wiersza
służy temu, żeby
energii się przyciągały.”.

Energia „bijąca z tej twórczości” przyciąga nas niewątpliwie. Daje siłę potrzebną do trudów codzienności. Podobna moc uderza z fotografii Jana Boczara doskonale współgrających z treścią tej poezji.

WARTO WIEDZIEĆ

Literacka Nagroda Nobla 2010, Mario Vargas Llosa

Laureatem tegorocznej Literackiej Nagrody Nobla został 74 letni pisarz peruwiański Mario Vargas Llosa. Jest pisarzem i myślicielem, pracował jako dziennikarz i nauczyciel. W 1990 roku kandydował w wyborach prezydenckich w Peru (przegrał w 2 turze).

Już w młodości pisywał do szuflady wiersze i opowiadania. Jeszcze w szkole średniej zaczął próbować sił w dziennikarstwie. W 1953 roku rozpoczął studia prawnicze na uniwersytecie w stolicy Peru, Limie, cały czas pisując do lokalnych gazet. Naukę na prawie rzucił, ostatecznie skończył romanistykę. Pod koniec lat 50. wraz z o 13 lat starszą żoną (która formalnie była jego... ciotką) wyjechał do Europy, osiadł w Paryżu. Tam kontynuował karierę dziennikarską, ponadto uczył hiszpańskiego. Później, w 1966 roku przeniósł się do Londynu, gdzie wykładał literaturę iberoamerykańską. Potem mieszkał w Hiszpanii, w Barcelonie. Po przegranych wyborach w 1990 roku wrócił do Wielkiej Brytanii.

Do najbardziej znanych dzieł Mario Vargasa Llosy zaliczane są powieści „Rozmowa w Katedrze” (1969), „Pantaleon i wizytantki” (1973), „Wojna końca świata” (1981), autobiograficzna „Ciotka Julia i skryba” (1977), czy najnowsza „Szelmostwa niegrzecznej dziewczynki” (2006).

Decyzja Akademii Szwedzkiej zaskoczyła krytyków literackich z całego świata, którzy w ostatnich dniach typowali faworytów do tegorocznej nagrody. Słusznie obstawiano, że jej laureatem zostanie pisarz lub poeta spoza Europy. Jednak nazwisko Mario Vargasa Llosy w tym roku nie przewijało się wśród ścisłej czołówki kandydatów. Typowano raczej japońskiego pisarza Haruki Murakamiego czy Kenijczyka Ngugi wa Thiong’o, a w ostatnich dniach poetę Szweda Tomasa Transtoemera. W gronie dwudziestu faworytów wymieniany był również polski poeta z Krakowa, Adam Zagajewski.

Nike 2010 dla Słobodzianka!

„Nasza klasa. Historia w XIV lekcjach” Tadeusza Słobodzianka to pierwszy dramat, który zdobył NIKE w czternastoletniej historii tej prestiżowej nagrody literackiej.

Słobodzianek ma 55 lat, urodził się w Jenisejsku na Syberii, gdzie poznali się jego rodzice zesłani podczas okupacji sowieckiej za działalność w AK. Po powrocie do kraju mieszkał w Białymstoku. Studiował teatrologię na Uniwersytecie Jagiellońskim, w latach 70. pisał ostre recenzje teatralne w „Studencie” i „Polityce” pod pseudonimem Jan Koniecpolski, później pracował jako kierownik literacki i reżyser w teatrach w Łodzi, Poznaniu, Białymstoku i Warszawie.

Jako dramatopisarz debiutował w 1980 roku sztuką dla teatru lalkowego „Historia o żebraku i osiołku”. Jego dramaty zanurzone są w mitologii polsko-białoruskiego pogranicza, najważniejsze to „Prorok Ilja”, „Car Mikołaj” i napisany wspólnie z Piotrem Tomaszukiem „Turlajgroszek”.

Materiały do „Naszej klasy” Słobodzianek zaczął zbierać jeszcze w 2001 roku, zaraz po ujawnieniu prawdy o pogromie w Jedwabnym. Inspirację czerpał m.in. z książki Jana Tomasza Grossa „Sąsiedzi” i filmu Agnieszki Arnold pod tym samym tytułem, a także z książki Anny Bikont „My z Jedwabnego”. Sztuka gotowa była w 2008 roku, jej światowa premiera odbyła się rok później w The National Theatre w Londynie. Polska publiczność będzie mogła ją zobaczyć w październiku w warszawskim Teatrze na Woli, gdzie zrealizuje ją słowacki reżyser Ondrej Spišák.

Za http://wyborcza.pl/1,75248,8459174,NIKE_2010_dla_Tadeusza_Slobodzianka.html

SPIS TREŚCI

WSTĘP s. 3-4

POEZJA

Michał Piętniewicz s. 7-17

„Życie po życiu (forma poematowa)”

„Wylinka”

„Przesłanie”

„to”

„Anna(nia) ciąg dalszy”

Andrzej Szczepański s. 18-19

*** „Papieros i piwko jasne...”

*** „Jestem dziś niespokojny jak deszcz...”

*** „Niebo mi przecież obiecało, że ciebie nie weźmie...”

*** „Wciskam dłonie...”

Agnieszka Szajer s. 19-23

*** „Skąd takie myśli...”

„Oświecenie...”

*** „z zaciśniętymi zębami”

„Niewolnik życia bożej hipokryzji”

Marta Sowa s. 24-25

Z cyklu: „w listach ci opowiem!”

*** „odłożę ciebie na później!”

*** „doskonale nie ma ciebie!”

Krzysztof Huber s. 25-28

„Takie czasy”

„Zaraz zaraz”

*** ""Ja tu jeszcze wrócę...”

Izabela Iwańczuk s. 29-31

„Open Fryderyk Szopen”

„Open Fryderyk Szopen,2”

„Czy”

„Mistrz”
„Prostota deszczu”

Ewelina Kogut s. 31-34

*** „Stwórca siedział na drzewie...”
„Ziggi”
*** „Ze wszystkich moich wcieleń...”
„Miłość”
*** „Łódź dobiła do brzegu...”
*** „Utkąłam dla kłamstwa...”

Dariusz Romanowski s. 35-36

„Czasami świat...”
„Bez happy endu”

Natalia Ewa Tryba s. 36-41

„Wyśniony seans”
*** „Zgasły światła...”
„Naiwni...”
„Niepewna pewność”
„Chodź”
*** „Szukając swojego miejsca...”
*** „Niech sobie będzie...”
„Cisza dźwięku”
*** „Nie, Ty pewnie nie masz czasu patrzeć...”
*** „w poranku zachodzącego słońca...”
„Nieożywiona”
„Game over”
*** „idź spać...”

Zbigniew Mirosławski s. 42-47

*** „To przeprawa ale nie tylko przez Mekong...”
*** „Kolejny raz do Krakowa...”
*** „Muszę jechać...”
„Odjazd z T...”

Monika Chytróś s. 47

„Alleinesein”

Izabella Tarasiewicz s. 48-50

„Chwila”
„Spacer”
„Tylko albo aż”
„marzenia”
„ludzie”

Mariusz Mitera s. 50-51

*** „codziennosc brutalnie zraniła...”
*** „iskierka się żarzy...”
*** „kanapka ze śniadania...”
*** „aniele mroczny...”
„nadzieje ćmy”

Krystian Janik s. 52-56

„Obłąd”
„Inferno”
„Zazdrość Boga”
„Spacer we dwoje”

Michał Rams-Ługowski s. 56-58

„Kasztan”
„Lekcja”
„Fortepian”

Bartosz Baran s. 58-59

„My jesteśmy poetami”
„Przyjdź do mnie...”

Dorota Mazurek s. 59-60

„Anioły”
„Zwierciadło”
„Zamknięte”

Agnieszka Wójtowicz s. 60

„Mgła nadziei”

Kinga Zegar s. 61

„Uśmiech”
„Pożegnanie z przeszłością”

PROZA

Monika Chytró s. 65-74

„Błękitne oko”

„Trismagistus”

„Wspomnienie lata”

Anna Łazarz s. 75-78

„Bezimienna”

Klaudyna Mach s. 79-81

„Gdy zawieje wiatr”

Grzegorz Osucha s. 82-83

„Bożek akwariowych stworów... Czyli o swej wątpliwej boskości w czasie z gruntu refleksyjnym...”

Roman Darecki s. 84-91

„Z...a”, część trzecia

RECENZJE

Zbigniew Leszczyc Mirosławski s. 95-104

„Ja kocham lata ciepły dzień...”, recenzja wierszy Ewy Ogorzelec.

„Propozycje Wacława Hajdugi”

„Wiersze Kazimierza Olszewskiego”

„Maria Wajda, autorka z Pleśnej”

„Piosenki Pauliny Biga”

Dariusz Romanowski s. 105-111

„Wewnętrznego światła wspólnota” –
Zbigniewa Mirosławskiego”.

WARTO WIEDZIEĆ s. 112-113

Literacka Nagroda Nobla 2010, Mario Vargas Llosa

Nike 2010 - Tadeusz Słobodzianek

ISSN 2081-8912

